

35

AP

Nr. dz. 1069 /46 Protokół

odpis

60

Dnia 11 czerwca 1945 r. w Krakowie Sędzia Śledczy Jan Sehn, członek Głównego Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, przesłuchiwał na wniosek, w obecności i przy współudziale Prokuratora Edwarda Pęchalekiego w trybie art. 254 w związku z art. 107, 115 Kodeksu Postępowania Karnego, byłego więźnia nr 2718 obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, który zeznał co następuje: -----

Nazywam się (Kula Michał), urodz. 7.9.1912 r. w Trzebinii, pow. chrzanowskiego, syn Jana i Antoniny Kosowskiej, mechanik, wyznania rzymsko-katolickiego, narodowości i przynależności państwowej polskiej, kawaler, zam. w Trzebinii, ul. Słowackiego 1.

Do czasu wybuchu wojny pracowałem i mieszkalem stale w Warszawie. Po kapitulacji Warszawy powróciłem tam i zgłosiłem się do pracy w firmie Lilpop. Tam zatrzymano mnie zaraz, żądano ode mnie wydania planów. Treuhänderem przedsiębiorstwa był już wówczas reichsdeutsch Jankowski, któremu wytłumaczyłem, że planów nie posiadam i nie o nich nie wiem. Chcąc wydostać się z matni w jaką tam wpadłem, przyrzekłem Jankowskiemu na jego naleganie, że wyjadę do fabryki do pracy do Lipska i wówczas zwolnił mnie. Od tego czasu zmieniłem stale miejsce zamieszkania, ponieważ do Lipska jechać nie chciałem, a na żądanie Jankowskiego byłem poszukiwany przez policję. W tym czasie nawiązałem kontakt z Czesławem Stolzmannem, zam. przy ul. Kruczej nr 25 m. 26 i w mieszkaniu tym spotykałem się z werkmistrzem z Ursusa Kowalskim. Postanowiliśmy wspólnie przeciwdziałać wyjazdowi niemieckich robotników do Niemiec. Przez nieostrożność Kowalskiego wciągnięto się do naszej grupy konfident, którego nazwiska nie pamiętam, na skutek denuncjacji którego zostałem w dniu 6. sierpnia 1940 w mieszkaniu Czesława aresztowany i osadzony w więzieniu przy ul. Pawiej /na Pawisku/. Tam byłem przesłuchiwany, przy czym mnie bito; z toku 5



przesłuchania zorientowałem się, że ów konfident nie był jednak jeszcze zorientowany co do naszych planów i zamierzeń, nie znał osób należących do naszej grupy, wiedział tylko, że w dniu 6 sierpnia 1940r. odbyć mamy zebranie i to doniósł policji. Szczodółnym zbiegiem okoliczności w chwili wkroczenia gestapo do mieszkania Czesława, byłem tam tylko ja i jego żona, że inni uczestnicy naszej grupy ocalili. Nie słyszałem przynajmniej, aby któryś z nich został aresztowany. Mimo bicia żadnego z nich nie wydałem, i do niczego się nie przyznałem. W dniu 14 sierpnia 1940 r. przewieziony zostałem autami w grupie 300 więźniów z Ławieksa na dworzec towarowy w Warszawie, gdzie załadowani zostaliśmy do wagonów bydlęcych po 50 osób w jednym wagonie, dołączeni do dużego transportu i przewiezieni do Oświęcimia. Podróż koleją trwała od godz. 5-ej dnia 14.8. 1940 r. do godz. 4.30 dnia 15.8.1940 r. Po drodze z transportu tego, liczącego 1730 więźniów, zostało 3 z powodu próby ucieczki zastrzelonych. W Oświęcimiu wyładowani zostaliśmy na rampie bocznej kolejowej. Rampa i cała droga do obozu obstawiona była przez SS-mannów, którzy ustawieni byli wzdłuż drogi i leżeli w trawie z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału. Ponadto uzbrojeni byli w pełki i mieli ze sobą psy policyjne. Wśród bicia ustawicznego zapędzono nasz cały transport, składający się z samych mężczyzn, na plac apelowy, gdzie stojący na stole SS-mann, otoczony grupą SS-mannów, wyczytywał nazwiska więźniów z dostarczonej wraz z transportem listy. Każdy wyczytany z listy przebiec musiał obok stołu, gdzie stojący tam SS-mann bili go pełkami. Wszyscy wyczytani ustawiali się dziesiątkami po drugiej stronie placu apelowego. Tam zaczęli krążyć wśród nas kapowie z pierwszej trzdziestki zbrodniarzy zawodowych, przywiezionych na kępów z Rzeszy, zdejmowali nam obrączki, pierścienie, zabierali zegarki, zrywali medalioniki i krzyżyki ze sztycy, przy czym gdy u więźnia znaleźli medalionik, bili go do nieprzytomności. Następnie przepędzeni zostaliśmy wszyscy na podwórze między blokami 15 a 16-tym. W grupie naszej znajdował się młody ksiądz z Warszawy.



SS-manni i kapowie odwrócili mu kapelusz dnem do góry, na szyję założyli pętlę postronka, a drugim końcem postronka przewiązali go w pasie. Do ręki dali temu księdzu miotłę. W tym przebraniu biegł on w okół całego transportu w czasie przepędzania nas z placu apelowego na podwórze między blokiem 15 a 16-tym. SS-manni i kapowie znęcali się nad nim w bezlitosny sposób i bili go czym popadło, aż ondlony upadł. Jaki był jego dalszy los nie wiem, między więźniami w późniejszym czasie więcej go nie spotkałem. Na podwórzu między blokami 15 a 16-tym rozebrać musieliśmy się do naga, zdać ubrania, zostaliśmy ostryżeni i otrzymali numery. Numerów wówczas jeszcze nie tatuowano. Otrzymaliśmy tekturki, na których numery więźniów były wypisane. Stąd przepędzono nas następnie wśród bicia do łaźni, która podówczas mieściła się w bloku 18-tym. Oczywiście o kąpiel nie było mowy, można się było tylko ochłapać zimną wodą. Na tym samym bloku odbyło się również badanie lekarskie, które przeprowadzali lekarze-więźniowie. Lekarz taki pytał więźnia czy jest zdrow i bez względu na treść odpowiedzi kazał mu iść dalej. Z łaźni przegnano nas na podwórze między blokami 17 a 18-tym, gdzie leżały dwa duże stopy ubrań więziennych, drelichowych w pasy. W biegu musieliśmy się ubrać i ustawić na placu apelowym. Tu rozdzielono nas na setki i setkami odprowadzono na bloki. Raz z moją setką znalazłem się na bloku 4-tym. Róż naszej setki wtłoczono tam jeszcze 5 dalszych setek, tak że na bloku 4-tym mieszkało w tym czasie 600 więźniów z naszego transportu. Zastaliśmy tam drobną grupę ślązaków z poprzedniego transportu. Wszyscy oni nienawidzili warszawiaków, żerowali na nas, okradali nas, wyciągali od nas pieniądze, które niektórym udało się jeszcze przemyścić, pod pozorem dokonania dla nas zakupów w kantynie. Rzeczy, które mieli w kantynie zakupić, do nas nigdy oczywiście nie dochodziły. Blokowym na bloku 4-tym był wówczas Maks, reichsdeutsch, z owej pierwszej trzydziestki niemieckich zawodowych przestępców, przywiezionych do Oświęcimia na kapów. Jak się zorientowałem był on z owych trzydziestu najwzględniejszy jako blo-



kowy. Sam nie bił więźniów, ale wyręczał go w tym jego zastępca, ślązak Skrzypek Alfred z Chorzowa i drugi ślązak Michel, pochodzący z Radzionkowa, który pełnił funkcje schreibera blokowego. Pomocnikiem zastępcy blokowego tzn. pomocnikiem Skrzypka był Bienieś Wilhelm z Chorzowa, który był jednocześnie stubendienstem. Daleszych stubowych dobrał sobie blokowy Maks z ludzi przybyłych naszym transportem. Funkcje te powierzył on Jurkowi z Warszawy, Myszkowskiemu z Chóru Dana i jakiemuś reichsdeutscheowi z Gdańska, który pełnił również funkcje fryzjera na bloku. Nazwiska Jurka nie znam, był to mężczyzna średniego wzrostu, dobrze zbudowany, szatyn, oczy wąsko ustawione, twarz pełna, mógł liczyć około 24 lat. Z zachowaniem jego i sposobu wyrażania się a wreszcie z jego opowiadań, dowiedzieliśmy się, że był to ulicznik warszawski, pochodzący z okolicy Woli. Bienieś był konfidentem blokowego Maksa, wszystko mu donosił, a następnie po objęciu bloku 4-tego przez blokowego Krankenmanna był jego prawą ręką. Skrzypek, Michel, Jurek, Myszkowski i ów fryzjer z Gdańska bili więźniów, Myszkowskiemu przetłumaczyliśmy później, że tak postępować nie należy. Zrozumiał to i zrezygnował ze stanowiska stubendiensta, mimo iż stanowisko to łączyło się z korzyściami, a przede wszystkim zwalniało od gimnastyki, ponadto otrzymywał więcej jedzenia. Najwięcej ofiar na sumieniu ma ów stubendienst Jurek. Na samym bloku 4-tym zabił on względnie okaleczył i poranił śmiertelnie około 80 więźniów, przeważnie z pośród inteligencji. Działo się to najczęściej wieczorem przy układaniu się więźniów do snu. Jak już wspomnieliśmy na bloku 4-tym stłoczone ponad 600 więźniów. Spaliśmy na wąskich siennikach bez łóżek. Na jednym sienniku leżało 3 więźniów. Aby tego dokonać, musieliśmy się gęsiego jeden za drugim ustawiać przed siennikiem i wszyscy jednocześnie przewracać na jeden bok na siennik. Jurek chodził wówczas między więźniami, bił ich po głowie kołkiem drewnianym lub pałką gumową. Sam spał na sienniku ułożonym na stole. Pod stołem spali więźniowie pobitych, ale jeszcze żywych więźniów, układał obok stołu i ze



stołu skakał na nich, przeważnie na piersi. Zmaltretowani w ten sposób więźniowie najczęściej kończyli życie. Trupów wynoszono rano w kocach do trupiarni, która w tym czasie mieściła się w bloku 20-tym. Numeracja bloków w tym czasie była taka, jak podana w broszurze Ojca Augustyna. Między blokiem 1 a 2-gim znajdowała się więzienna stolarnia i ślusarnia, a druga połowa tego samego podwórza, ta od strony bloków, zajęta była na kuchnię obozową. Ustawione tam były kotły polowe pod gołym niebem. Kuchnia zaznaczona w planie broszury Ojca Augustyna była wówczas w trakcie budowy. Między budynkiem komendantury a budynkiem szpitalnym SS, znajdującymi się poza drutami obozu, więźniowie z naszego transportu wybudowali barak, w którym mieszcili się mieszkania dla SS-mannów, blockführerów. Barak ten został następnie rozebrany i w miejsce jego wybudowano w roku 1943 piętrowy budynek murowany, w którym mieścił się oddział polityczny i administracja. Również w roku 1943 wybudowano dla oddziału politycznego barak obok krematorium. Tam odbywały się przesłuchiwanie i torturowanie więźniów. W roku 1940 oddział polityczny mieścił się w budynku oznaczonym na planie broszury Ojca Augustyna "szpital SS". Oddział ten znajdował się na parterze na lewo od wejścia, na prawo mieściła się kantyna SS. Oddział polityczny mieścił się później wewnątrz samego obozu w bloku 17 według starego planu, który to blok po rozbudowie obozu przemianowany został na blok 25-ty. Oczywiście nie był to cały oddział polityczny, tylko placówka tego oddziału, specjalnie dla spraw więźniów znajdujących się w obozie. W placówce tej pracował ukraińiec Bohdan Komarnicki, konfident obozowy od pierwszej chwili. W roku 1942, gdy nadeszły transporty wojenno-plennych rosyjskich, umieszczono ich w blokach położonych między placem apelowym, kuchnią a budynkami komendantury. Wszystkie te bloki odgrodzono od reszty obozu drutem kolczastym i stąd nocą przepędzono na blok 11-ty, gdzie Palitsch rozstrzeliwał ich. Komarnicki urzędował wówczas na bloku 24-tym i decydował o tym, których



więźniów rosyjskich należy rozstrzelać. W styczniu 1945 r. wywieziony on został naszym transportem do Mauthausen. W czasie transportu przebywał stale w towarzystwie komendanta transportu SS-obersturmführera i jedynie dzięki temu dojechał żywo do Mauthausen. Tam "poleciłony" go miejscowym więźniom, którzy rzeczywiście pobili go, lecz wyszedł z opresji żywo i został przeniesiony przez SS do komendy w Melku, oddalonym 60 km. od Mauthausen. Tam został kafeaktorem tamtejszego obersturmführera. Sądzę, że Komarnicki żyje i znajduje się w strefie okupacyjnej angielskiej. Jest to mężczyzna wysoki, brunet bardzo przygotjny, ma piękne zęby, jak perły, sądzą, że niema więcej jak 30 lat. Jednym z najniebezpieczniejszych konfidentów był Dorosiewicz, zdaje się też ukraińiec, który podawał jednak, że pochodził z Warszawy. Zatrudnionym on był w oddziale pomiarów jako kepo, chodził z więźniami pracującymi w tym oddziale na miejsce pracy w terenie, stale w towarzystwie SS-mann z oddziału politycznego, szpiegował więźniów, poznawał ich kontakty ze światem zewnętrznym i następnie oskarżał wobec SS-mannów. Za jego sprawą na skutek jego denuncjacji powiedzono w lecie roku 1944 12 więźniów z oddziału pomiarów. Przed wykonaniem tej egzekucji - sprawa tych 12 ciągnęła się bowiem bardzo długo - Dorosiewiczowi udało się wraz z jakimś żydem zatrudnionym w oddziale politycznym zbiec, prawdopodobnie do Wiednia. W sprawie owych 12 z biura pomiarów, współpracował Dorosiewicz z konfidentem Krahlem reichsdeutschem, zatrudnionym w biurach Bauleitungu i w oddziale politycznym. Daleszym konfidentem był blokowy na bloku 15-tym Kowalski, gdańszczanin. Obaż ostatecznie wymienieni, posłani zostali w transport i prawdopodobnie w drodze przez więźniów zabici. Takie meldunki nadeszły przynajmniej do obozu. W okazanej mi liście zugangu z 22 maja 1941 r. Kowalski figuruje jako polski przestępca zawodowy, pod numerem 15671. Z listy tej wynika, iż na imię było mu Bolesław, pochodził z miasta Łodzi. Jako zawód podano w liście robotnik, a datę urodz. 10.4.1895. Oczywiście wymieniałem tylko asów spośród konfidentów. Wszyscy oni rekrutowali się



spośród więźniów. W szeregach ich reprezentowane były wszelkie narodowości i wszystkie wyznania. Stali oni na usługach oddziału politycznego i przez ten oddział byli do poszczególnych komand przydzielani, z pominięciem oczywiście arbeitsdienstu i arbeitseinsatzu. Konfident taki przyjmowany bywał do arbeitskomanda na podstawie karteczki oddziału politycznego, i na podstawie takiej samej karteczki był na inne komando przenoszony, po opracowaniu komanda. Zazwyczaj po pracy takiego konfidenta szło na stracenie kilku ludzi z komanda. -----

[W roku 1940 wybudowano kuchnię obozową oraz przerobiono stajnie, położone już poza drutem kolczastym obozu, na warsztaty stolarskie ślusarskie, samochodowe i elektryczne. W roku 1941 nadbudowano dotychczas parterowe bloki nr 1, 2, 4, 5, 6, 7, 8, 11, 12, 14, 15, 16, 18 i 19 oraz przerobiono to, co później nazywało się "bauhof". W roku 1942, wybudowano na placu apelowym dalszych 8 bloków jednopiętrowych. Budowę rozpoczęto od późniejszego bloku 4-tego i 15-tego. Wykopano wówczas olbrzymie doły pod fundamenta. Dół pod fundamenta bloku 15-tego podszedł wodą, w której topiono żydów. Kapo komanda zatrudnionego przy kopaniu tych rowów był reichsdeutsch, bandyta, Reinhold. Wraz z blokowymi z sąsiadujących bloków zjechał on się nad ludźmi w jego komandzie pracującymi. Pamiętam, że Reinhold wrzucił pewnego razu starszego żyda do dołu, w którym znajdowała się woda. Syn owego żyda przyglądał się tej scenie. Gdy ojciec podniósł się i starał się wydostać z dołu i z wody, Reinhold i SS-manni przyglądający się tej scenie, polecili owemu synowi zejść do dołu i utopić ojca. Syn wykonał ten rozkaz, zszedł do dołu, chwycił ojca za kark, zanurzył jego głowę w wodzie i tak długo trzymał, aż ojciec nie dawał znaku życia. Następnie na polecenie Reinholda i SS-mennów wyszedł ów syn nad brzeg dołu. Reinhold i jeszcze jeden więzień, którego nie znam, złapali syna owego żyda za ręce i nogi, rozhuścili, wrzucili do dołu, gdzie inni żydzi, pracujący w wodzie przy wydobywaniu żwiru, mu-



siali go utopić. Zaznaczam, że przy kopaniu dołów na fundamenta pod bloki 4-ty i 15-ty pracowały kompanie karne. Początkowo było ich dwie; kompanie karne, liczące około 150 więźniów i kompanie karne wychowawcza, liczące w tym czasie około 400 więźniów. Do pierwszej szli Żydzi i Polacy, stojący pod zarzutem cięższych przewinień lagrowych. W drugiej byli sami aryjczycy, którzy w kompanii karnej znaleźli się za drobniejsze przewinienia, jak np. nie zdjęcie czapki przed SS-mannem, palenie papierosów, trzymanie rąk w kieszeni itp. Podział ten trwał jednak bardzo krótko i na Boże Narodzenie roku 1942, istniała już tylko jedna kompania karne /S.K./, która kwatrowana była na ówczesnym bloku 13-tym, później oznaczonym numerem 11. Dla kompanii karnej wybrano najcięższą komanda, pracowali stale albo w wozie, albo w kieszgrubach, w każdym razie zawsze pod gołym niebem. Na skutek tych ciężkich warunków pracy ludzie z tej kompanii ginęli bardzo szybko. W 1942 r. wcielono do kompanii karnej 100 ludzi z transportu warszawskiego, który przybył do Oświęcimia 8 maja 1942 r. Więźniów z tego transportu zatrudniono na robotach przy plantowaniu ziemi obok toru kolejowego. Ponieważ na miejscu pracy nie było żadnego ustępu, jeden z więźniów załatwiał potrzebę fizjologiczną na otwartym polu w chwili, gdy obok miejsca pracy przejeżdżał pociąg z transportem wojskowym. Po paru godzinach nadszedł do obozu meldunek, że więzień ów umyślnie wypiął tyłek na przejeżdżający transport wojskowy. W rezultacie cała komanda składająca się ze 100 ludzi wcielono do kompanii karnej, z której żaden nie wyszedł żywo. Poza ciężką pracę na komandach poza obozem, musiała kompania karne pracować po odbyciu wieczornego apelu aż do pierwszego gongu na terenie obozu. Poza cięższą pracę, niszczyły tych ludzi: brak odzienia, głodzenie i warunki mieszkania na bloku 11-tym. Pracowali oni zimą i latem bez skarpetek w drewniakach holenderskich, odzieni tylko w dreluchy. Wydawanie jedzenia przyniesionego w kotłach zależne było od fantazji blokowego, którym w r. 1942 był Krankenmann. Noce spędzali na bloku 11-tym, najczęściej bezsenność, z powodu



ciągłych krzyków i bicia. Leżeli bez szenników na gołej posadzce, a łachmany swoje zostawiać musieli na korytarzu ułożone w kostkę, a-  
żby nimi na noc przykryć się nie mogli. Blok był nieopalony i nie-  
ogrzany. Nie więc dziwnego, że ludzie w tych warunkach zapadali  
bardzo szybko na zdrowiu. Do r.1943 chorych z karnej kompanii do  
szpitala przyjmować nie było wolno. Jeżeli więc ktoś zachorował,  
to pozbawiony wszelkiej opieki lekarskiej zginąć musiał i ginął  
na bloku 11-tym. Największy odsetek ginął jednak z zębicia. Sam  
Krankemann miał swój własny sposób zabijania ludzi. Ustawiał ich  
przy kancie muru, uderzał ręką w szczękę, na skutek czego szczękę  
pękała a druga strona głowy uderzała w kant muru. Oczywiście powo-  
dowało to duże zranienia i w najczęstszych wypadkach śmierć. W zi-  
mie z r.1942/1943 grasował po bloku 11-tym i po karnej kompanii  
na wszystkich arbeitskomendach, gdzie ta kompania była zatrudniona,  
jeden olbrzym, hodowany specjalnie do zabijania ludzi. Nie pracował  
on, dostawał dobre jedzenie, na miejscu pracy stał oparty o długi  
drag, średnicy około 70 mm i krzychał "bewegung". Gdy któryś z  
więźniów nie spodobał mu się, przywoływał go do siebie i uderze-  
nien owym dragiem w kark zabijał na miejscu. Drugim sposobem, sto-  
sowanym przez owego oprawcę, było duszenie. Więzień zapiąć musiał  
bluzę na guzik i haftkę pod szyją a wówczas ów stójkowy chwycił  
jedną ręką za kołnierz bluzki od tyłu a drugą, pochylił głowę delikwen-  
ta ku dołowi, tak że kołnierz i haftka uciskały krtani i powodowały  
uduszenie. Trzecią praktyką było duszenie przy pomocy draga na  
ziemi. Układał on więźnia na ziemi twarzą do góry, pod kark pod-  
cypywał ziemię lub podkładał cegłę a następnie kładł na gardzieli  
ów drag i stawał na jego obu końcach nogami. Stał tak długo, dopóki  
ofiara nie wyzionęła ducha. W tym czasie mordowanie ludzi było  
powszechne, a nie tylko specjalnością karnej kompanii. Zarówno z  
transportu, którym ja do obozu przybyłem, jak i z innych transportów,  
wybierał ówczesny lagerführer Majer chłopców do lat 18-tu i jako  
małoletnich umieszczał ich na bloku 5-tym dawnej numeracji. Ster-



szym blokowym był tam Baldesiński z Brzeska, jego zastępcą był Stefan Wierzbica ze Śląska, zwany krwawym Stefanem. Mimo, iż Majer zapewniał owych chłopców w mowach, które do nich wygłaszał, że przyszli oni do obozu na wychowanie i daje im cywilne słowo honoru, iż po dwuletnim pobycie w obozie zostaną reichedeutschem i będą sobie mogli swobodnie wybrać miejsce pracy, Baldesiński i jego pomocnik Wierzbica, swoimi szykanami wytepili większość chłopców, którzy powierzeni zostali ich pieczy na bloku 5-tym. Bili ich, wylewali na nich zimną wodę, wystawiali na mróz, pędzili boso po śniegu pod pozorem mycia nóg, a sam Baldesiński biegał jak szalony po ciałach tych chłopców, gdy leżeli na siennikach. Po krótkim czasie pobytu na bloku 5-tym, chłopcy muzułmanieli i merli. Przy życiu utrzymali się tylko ci, którzy pracowali w komendach pod dachem. Następca Majera, Britsch rozwiązał blok 5-ty, jako blok młodocienych i poprządził pozostałych tam niedobitków na różne inne bloki, w zależności od komand, w których pracowali. Baldesiński i Wierzbica przybyli do Oświęcimia z Tarnowa albo z Wiśnicza, jednym z pierwszych transportów. Baldesiński został w roku 1942 albo na początku 1943 z obozu zwolniony. Był to olbrzym, dobrze zbudowany, utuczony, w wieku ponad 40 lat. Wierzbica przeniesiony został później do Brzezinki, gdzie był najpierw kapem w kompanii karnej Brzezinki, a następnie przeniesiony został jako kapo do komanda "Strassenbau". Przeniesienie to nastąpiło na skutek tego, że u Wierzbicy znaleziono całą masę złotych zębów. Zęby te wrywał on ludziom, którzy zmarli w komendzie. W zasadzie za tego rodzaju przewinienie, inny więzień zostałby rozstrzelany. Wierzbica musiał mieć jakieś zasługi, skoro zwolniono go i skoro sprawa skończyła się dla niego tylko przeniesieniem do innego komanda. W Brzezince przebywał Wierzbica aż do ewakuacji obozu. W styczniu 1945 r. poszedł z transportem pieszym w kierunku Rzeszy i zbiegł z transportu w Jastrzębiu Zdroju. Ow starszy blokowy Reinhold objął, po zdaniu karnej kompanii, blok



22 g., w którym leżało komando pracujące w warsztatach, a następnie komando zatrudnione w fabryce skóry nad Solą. W fabryce tej była również druga część Kanady, w szczególności tam magazynowano wszelkie buty, walizki i inne wyroby skórzane. Przy tej okazji Reinhold wszedł w posiadanie złota i brylantów i po wydaniu się sprawy znalazł się w bunkrze blok 11-ego, gdzie powiesił się. Cw żyd, dozorca z karnej kompanii, dostał później pomieszczenia zmysłów, został popędzony przez SS-manna na teren leżący poza łańcuchami straży i przez tego SS-manna z tyłu zastrzelony. -----

Wyraz "Kanada" zawdzięcza zaręba bbozowy więźniowi Waleczakowi Tadeuszowi przybyłemu do Oświęcimia pierwszym transportem warszawskim. Waleczak był rodem z Lublina. Był to człowiek wesoły, lubił dużo mówić i gdy w połowie roku 1943 nadchodzić zaczęły do obozu transporty żydów słowackich, powiedział on, że teraz będzie w obozie Kanada, bo jest wszystkiego w bród. Żydom słowackim zabierano bowiem wszystko już na rampie bocznic kolejowej w Oświęcimiu, położonej od strony Brzezinki, w miejscu gdzie ta bocznic krzyżował się z drogą prowadzącą do Brzezinki. Zabrane tam więźniom ubrania magazynowano w Effektenkammer obok Bauhofu. Buty, walizy i inne wyroby skórzane w fabryce skóry, niedaleko od mostu na Sole w Oświęcimiu. Przedmioty złote, brylanty i inne kosztowności w pierwszym budynku komendantury. Wywołane przez Waleczaka określenie "Kanada" rozeszło się wkrótce po całym obozie, i to nie tylko wśród więźniów, ale także i SS-mannów, którzy ostatecznie przyjęli je jako oficjalne określenie danych effektenkammer, w których przechowywane były rzeczy zabrane ludziom przybyłym do obozu i skierowanym do gazu. Więźniowie oznaczali jako "Kanadę" po pierwsze: wszelkie towary, które opisanym poprzednio sposobem znalazły się w obozie, a więc przede wszystkim środki żywności, a po drugie wszelkie miejsca,



w których rzeczy te były przybyłym do obozu odbierane. W żargonie więźniów była zatem Kanada i owa rampa w Brzezince i effektenkammer obok Bauhofu, jak również Effektenlager w Brzezince i magazyny w fabryce skóry. Wreszcie jeszcze jedna Kanada, w której przechowywano przeważnie bieliznę i ubrania znajdowała się w "Pragshalle", w pobliżu dworca kolejowego od strony Brzezinki. Ludzie zatrudnieni przy sortowaniu i przewożeniu rzeczy zrabowanych nowoprzybyłym więźniom pracowali według języka obozowego w komandzie Kanada. Przy powrocie takiego komanda do obozu z miejsca pracy byli wszyscy więźniowie należący do komanda przez SS-mannów skrupulatnie rewidowani i SS-manni zabierali im wszystko, co przy nich znaleźli. Wszystkie nadające się do spożycia środki żywności przewożono do magazynów T.W.L. /Truppenwirtschaftslager/, gdzie ładowano je do wagonów i wysyłano dla wojska na wschód. Wszystkie okruszki, rzeczy zepsute, produkty rozsypane i pobrudzone przesyłano do kuchni więziennych, gdzie gotowano z nich zupę dla więźniów. Kucharz wypywał te śmieci łopatą do kotła, nie więc dziwnego, że zupa miała smak mydła, znajdowano w niej żyłki, a w jednym znanym mi wypadku, prezerwatywę. W Effektenkammerach przeszukiwano rzeczy tam z rampy dostarczone za walutami i przedmiotami wartościowymi. Bardzo dużo prutek, od butów odrywano zelówki i obcaszki, gdyż okazało się, iż w obcasach najczęściej kosztowności bywa ukrytych. W poszukiwaniu za kosztownościami, przełamywano kawałki mydła, rozrywano tubki pasty, w pędzlach do golenia nawet poszukiwano za kosztownościami i często je znajdowano. Ubrania nadające się do użytku pakowano w paczki i wysyłano do Rzeszy, a ubrania gorsze przeznaczone dla więźniów. Na bluzkach i na spodniach wycinano duże kwadraty i wstawiano pasiaste łaty dla oznaczenia w ten sposób więźnia. -----

[Jak już na wstępie wspomniałem do obozu w Oświęcimiu przybyłem o 4.30 godz. dnia 15. sierpnia 1940 r. Opisana przeze mnie procedura przyjęcia do obozu trwała do godz. 7-ej wieczorem. Nastę-



nie otrzymaliśmy zupeł ze zgniłych szparagów i poszliśmy spać. Nikt prawie nie jadł, ponieważ wszystkich dręczyło pragnienie a wody do picia nie otrzymaliśmy. W nocy panował na bloku wstrętny zaduch, ponieważ mimo olbrzymiego stłoczenia ludzi nie pozwolono otworzyć okien. Dnia następnego urządzono pobudkę o godz. 4-ej rano. Wypędzono nas na plac apelowy i uprawiano z nami gimnastykę do godz. 12-ej w południe. Otoczeni przez SS-mannów i kapów spośród owej pierwszej 30-tki, bici przez nich, skakaliśmy żabki, tańczyli z podniesionymi do góry rękami, biegali w kółko bosymi nogami po wyźwirowanym placu apelowym. Już w czasie tego pierwszego przedpołudnia bardzo wielu upadło z wyczerpania. Tych kapowie odciągali na bok i tam lagerältester Leo dobijał ich, wypychając im siłą drag, który stale nosił ze sobą, do ust. Ociągających się w biegu wyłapywał SS-mann, przezwany przez więźniów "Perelka", odprowadzał ich za blok 8-my i tam uderzeniem kołkiem w kark zabijał. O godz. 12-ej ustawiono nas do apelu, który trwał 45 minut. 15 minut pozostawiono nam na przyniesienie misek z bloku, spożycie gorącej zupy i umycie misek oraz odniesienie ich do bloku. O godz. 13-ej SS-manni i starszyzna obozowa ustawili nas znowu na placu apelowym i uczyli śpiewu. Śpiew trwał do godziny 15-ej i w tym czasie zdotaliśmy się nauczyć, mimo iż większość z nas nie znała języka niemieckiego, zaintonowane nam tylko raz przez Leo niemieckie piosenki "Schwarz braun ist die Hasennuss" i "Im Wald im grünen Walde". Mimo iż zdaniem moim śpiewaliśmy jak na początkujących bardzo dobrze, nauczyciele byli z naszego śpiewu niezadowoleni, bili nas i kazali nam śpiewać w przysiadzie oraz w pozycji "padnij". W pozycji tej bili nas i deptali po nas nogami. Od godz. 15-ej do godz. 18.30 była znów gimnastyka. O godz. 18.30 odbył się apel wieczorny, który trwał zwykle około 2 godzin, po czym powróciliśmy na blok. W czasie apelu wieczornego wymierzano karę chłosty za naj-



drobniejsze przewinienie. Po apelu wieczornym wydzielono nam porcje chleba i czarną kawę. Dzień następny rozpoczął się tak samo jak poprzedni. Przepołudniem opadłem z sił, biegłem wolniej i wówczas odprowadzony zostałem przez "Perełkę" za blok 8-my. Nie wiem czemu to przypisać, że zapytał on mnie wówczas, czym jestem z zawodu. Gdy odpowiedziałem mu, że jestem ślusarzem mechanikiem, oświadczył mi, że potrzebuje takiego, kazał mi wziąć wiadro i polewać wodą tych, którzy na skutek gimnastyki omdleli. Pracę tę wykonywałem do południa a następnie po śpiewie do apelu wieczornego. Dnia trzeciego wiadra już nie znalazłem, utraciłem "funkcję" i musiałem się wraz z innymi gimnastykować. Po południu tego dnia wybierano ludzi do wożenia żwiru taczkami. W grupie tej znalazłem się i ja. Praca odbywała się w biegu bez względu na to, czy więzień pochał puste czy też maładowane taczki. Pracowałem jednak przy taczkach tylko około 2 godzin, ponieważ kapo nr 8 uderzył mnie liną drucianą przez plecy tak silnie, że pracować dalej nie mogłem, rzuciłem taczki i przeniósłem się do grupy gimnastykującej. W grupie tej przebyłem również spinanie się więźniów na cienkie drzewko. Na drzewko wspinać się miało około 50 więźniów, co oczywiście było fizyczną niemożliwością, gdyż drzewko złamało się już w chwili, gdy na nim znalazło się kilku pierwszych więźniów. Przy tej "zabawie", która odbywała się w obecności SS-mannów i starszyny obozowej, bito nas, najpierw dlatego, że jeszcze nie jesteśmy na drzewku, a następnie za to, że złamaliśmy drzewko. Czwartego dnia w czasie apelu południowego kapo Müller ze ślusarni poszukiwał grawera. Zgłosiłem się, zostałem przez Müllera przyjęty i w piątym dniu pracowałem już w ślusarni. Reszta z grupy, z którą ja do obozu przybyłem, uprawiała taki sport i gimnastykę jeszcze przez dwa tygodnie. W tym czasie zginęło ich bardzo wielu, reszta była pokaleczona i miała nogi opuchnięte od ciągłego bie-



ganie bosymi nogami po żwirze, drutach kolczastych i gwoździach. Oczywiście takim okaleczonym wolno było zgłaszać się na izbę chorzych. Lekarz więzień, dawał im kartkę, że nadają się tylko do pracy siedzącej. Takich zatrudniono przy czyszczeniu starych cegieł z zaprawy murarskiej. Cegły te przeznaczone były do budowy kuchni, którą wówczas budowano. Robota siedząca odbywała się w ten sposób, że więźniów usadzano na drewnianych palikach wkopanych w ziemię i zwróconych zastrzonym końcem ku górze. Więźniowie siedzieli więc na szpicach kołków, każdy więzień siedział na jednym kołku. Kapem tego komenda był Konrad, również z owej 30-tki reichsdeutscheów i pilnował, by więzień rzeczywiście pracował w pozycji siedzącej przez cały dzień bez możliwości podniesienia się. Jeżeli któryś podniósł się lub upadł, bił go do nieprzytomności i tak pobitego pozostawiał bez pomocy. W ślusarni pracowałem od 20. sierpnia 1940 r. do października 1944 r. Początkowo warsztat ślusarski mieścił się na połowie podwórza między blokami 1 a 2-gim. Było tu zatrudnionych najpierw 40 więźniów, ja przyszedłem jako 41. Powoli liczba więźniów zatrudnionych w ślusarni wzrastała. W listopadzie 1940 r. przeniesiono ślusarnię do jednej ze stajni, tzn. tam gdzie ona się jeszcze do dnia dzisiejszego znajduje. W chwili przenoszenia ślusarni do nowego budynku komenda liczyła już 70 więźniów. Początkowo w ślusarni nie było żadnego sprzętu ślusarskiego, prócz paru młotków, obcęgi i kawałka szyny, która służyć miała za kowadło. Nową ślusarnię wyposażono w sprzęt i urządzenia maszynowe wymontowane z warsztatu klasztornego Ojców Salesjanów w Oświęcimiu. W miarę rozrostu i rozbudowy ślusarni, więźniowie stojącymi do ich dyspozycji narzędziami, tworzyli dalsze urządzenia techniczne i maszynowe warsztatu. Na wiosnę r. 1941, powiększono ślusarnię dobudowano i urządzono odlewnię i warsztat do wyrobu siatek. Pierwszym kapem komenda ślusarni był Kurt Müller, nr 6, reichsdeutsch, zawodowy przestępca, który przed przybyciem do Oświęcimia miał



już za sobą 4 lata więzienia. Był to człowiek młody, bardzo m ambitny, podawał się za ślusarza, aczkolwiek jak zdaliśmy się zorientować, wybitnym specjalistą ślusarskim nie był. Ambicją jego było stworzenie z ślusarni najpoważniejszego komanda pracy. Dlatego też wybierał z zagangów ludzi podających się za ślusarzy, egzaminował ich i wcielał do swego komanda, chcąc by było ono komandem najliczniejszym. Tę jego słabość wykorzystywaliśmy, proponując mu przyjęcie naszych znajomych i towarzyszy jako wybitnych fachowców. Między innymi udało mi się w ten sposób ściągnąć do ślusarni prof. matematyki z Warszawy Florczyka. Oczywiście Florczyk na ślusarstwie zupełnie się nie znał, wobec czego zamęstał warsztat, ale praca ta nie odpowiadała mu i po krótkim czasie przeszedł do cerowania skarpet w innym komandzie. W ten sposób udało nam się wciągnąć do ślusarni bardzo wielu wartościowych ludzi i uratować ich od śmierci przy pracy pod gołym niebem. Müller chciał z drugiej strony popisywać się wynikami pracy w ślusarni przed swoimi władzami przełożonymi. Oczywiście, prace wykonane przez więźniów przedstawiał jako prace przez siebie zaprojektowane i pod jego kierownictwem i w jego komandzie wykonane. Między innymi w ślusarni wykonaliśmy wszystkie roboty ślusarskie do siedziby komendanta obozu Hessa. Z pracy tej Hess był bardzo zadowolony i Müller zdobył sobie w ten sposób protekcję u Hessa. Chcąc wybić się pracą więźniów, musiał Müller oczywiście dbać o swoje komando. Przejawiało się to w tym, że dostarczał nam dodatkowe porcjeupy, nie pozwolił innym np. blokowym szykanować więźniów. Przypominam sobie, że gdy powróciłem późno z pracy w ślusarni i nie znalazłszy miejsca, na którym ułożyć mógłbym się do snu, usiadłem na taburecie w przejściu między dwoma szeregami sienników, pobity zostałem przez zastępcę blokowego owego Skrzypka, o którym już poprzednio wspominałem. Ponieważ w tym czasie wykonywałem tabliczkę do uprzęży konia Hessa, na szybkim wykonaniu której Müllerowi zależało, polecił mi on i dnia następnego po owym pobiciu mnie



przez Skrzypka, powrócić po apelu do pracy. Oświadczyłem ówczesnemu tłumaczowi inż. Krzetuskiemu z Moście, że nie mogę pracować po apelu, ponieważ gdy wracam później, nie mam miejsca do spania, a za siedzenie w nocy na zydłu pobity zostałem poprzedniej nocy przez Skrzypka. Krzetuski powtórzył moje oświadczenie Müllerowi, a wówczas ten zebrał mnie, pobiegł wreszcie ze mną na blok 4-ty i tam w obecności blokowego Maksa, pobił Skrzypka bardzo dotkliwie i nakazał mu, by legowisko było dla mnie zawsze zarezerwowane. Skrzypek starał się polecenie to wykonać i w czasie układania się w łóżku do snu, rezerwował dla mnie miejsce. Ponieważ jednak chłopcy we śnie ruszali się, wobec czego i w drugą noc miejsca do spania po powrocie ze ślusarni około godz. 11-ej w nocy nie znalazłem. Usiadłem znowu na zydłu w przejściu między szeregami sienników. Skrzypek zwołał mnie wówczas do swojej izby, gdzie spałem wraz z nim przez kilka nocy. Nie zrobił mi już w tym czasie żadnej krzywdy, obawiając się Müllera. Przy takim nastawieniu Müllera mieliśmy możliwość likwidowania w bardzo krótkim czasie konfidentów, nastłanych do ślusarni przez oddział polityczny. Ludzi takich wyrzucał on ze ślusarni, przy czym na odchodnie zawsze ich dotkliwie pobił. Pewnego razu wkradł się do naszego komanda jakiś konfident reichsdeutsch z Łodzi. Postaraliśmy się oczywiście, by Müller dowiedział się jak najszybciej o tym, a wówczas on wreszcie ze swoim zastępcą Herfurtem powiesili owego konfidenta w składzie narzędzi na łańcuchu za ręce, pobili go i wyrzucili. W sprawie tej interweniował u Müllera Politsch, lecz Müller mając za sobą Hessa, przedstawił mu, iż ludzie nastłani dezorganizują mu pracę, że dobiera on sobie ludzi pewnych i za ludzi tych przyjmuje odpowiedzialność. Dzięki temu, za czasów Müllera nie mieliśmy w ślusarni konfidentów, i temu tylko przypisać należy, iż z komandy ślusarni nikt nie został rozstrzelany na skutek denuncjacji. Przypominam sobie również, iż Müller przechodząc pewnego razu przez plac apelowy w czasie, gdy tam wymierzano na koźle karę chłosty wskazał



77  
ręką w stronę miejsca kaźni i powiedział: "oto pomnik kultury  
narodu niemieckiego". Za czasów Müllera komando ślusarni roz-  
rosło się do 200 ludzi, pod koniec liczyło około 250 ludzi.  
Müller z zasady reichsdeutscheów do swego komanda nie przyjmował.  
O ile sobie przypominam pracowało tam najwyżej trzech. Pewnego  
razu przyjął kowala reichsdeutsche, który pobił go do niego na  
skargę, iż więźniowie nie nie robią, tylko grzeją się przy ogniu,  
palą papierosy i gotują. Müller pobił go i wyrzucił ze ślusarni,  
mówiąc, iż on wie dokładnie co więźniowie robią. Nam natomiast  
oświadczył, że kowala owego wyrzucił dlatego, bo skoro on dziś  
chodzi ze skargą do niego, to jutro oskarżyć może jego przed SS-  
männem. SS-männów do ślusarni nie wpuszczał. Sam bił więźniów  
i to dotkliwie, szkodząc im w sposób bestialski nie maltreto-  
wał. Bił więźniów wtedy, gdy przyłapał ich na jakimś przewinieniu  
np. na paleniu papierosów lub gotowaniu. Mówił, że bije dlatego,  
iż więźniów pozwolił się złapać, bo skoro pozwolili złapać się je-  
mu, to napewno nie uchroni się również, gdy wpadnie jakaś kontro-  
la z zewnątrz. Müller był kapem ślusarni do września 1942 r. W  
miesiącu tym został zwolniony jako więzień i objął kierownictwo  
wszystkich warsztatów a więc i ślusarni już jako cywilny robotnik.  
W miejsce Müllera został kapem Willi Kühne, również zawodowy  
przestępca z owej 100 /setki/ reichsdeutscheów, których później  
do Oświęcimia przysłano. Cywilnym kierownikiem warsztatów był  
Müller tylko około dwóch miesięcy, gdyż podpity pokłócił się w  
kantinie SS z lagerführerem Seidlerem, zarzucił Seidlerowi, że  
do Oświęcimia przyszedł jako dzieć z workiem, a tu wzbogacił się  
rabując Polaków i zabierając im mienie. Seidler strzelił wówczas  
do Müllera z rewolweru, zranił go jednak tylko lekko, sprawa  
zakończyła się zamknięciem Müllera w bunkrze bloku 11-ego, gdzie  
przebywał prawie rok i na jesieni roku 1943, na żądanie Seidlera,  
który w międzyczasie przeniesiony został do Gusen-Mauthausen,  
przeniesiony został do tego obozu jako więzień. W tym czasie,



gdy Müller kierował ślusarnią jako cywilny pracownik, następnie jego na stanowisku kape, Kühne, zachowywał się przyzwoicie. Również i SS-manni nie znęcali się nad więźniami zatrudnionymi w ślusarni. Po zamknięciu Müllera w bunkrze, kierownictwo warsztatów objął w jego miejsce SS-rottenführer Blenke. Był to mężczyzna olbrzymiego wzrostu, szatyn o płaskiej kościastej twarzy, dużej głowie i długiej szyi, mógł mieć około 28 lat. Chodził on po warsztatach stale z kijem bił, kopał i na wszelkie możliwe sposoby maltretował więźniów. Tak samo zachowywał się Kühne, który po zamknięciu Müllera zmienił radykalnie swój stosunek do więźniów. Zastępcą Kühnego był reichsdeutsch z czarnym wątkiem Albert Wojtas. Za czasów Müllera pracował on u mnie na bormaszynie i siedział cichutko, po zamknięciu Müllera bił tak samo więźniów jak Kühne i Blenke. Komando ślusarni nie miało początkowo komando-führera z ramienia SS. Pierwszego komando-führera przydzielono do ślusarni jesienią 1942 r. Funkcje te objął SS-rottenführer Lubuszy Edward z Bielska. Początkowo bił on więźniów a później zmienił się. Do stycznia 1943 r. ślusarnia prowadzona była w zarządzie Bauleitungu. W styczniu 1943 r. przeszła pod zarząd Deutsche Ausrüstungs-Werke /D.A.W./ i wówczas został Lubuszy przeniesiony do innego komanda Bauleitungu. Na jego miejsce przyszedł do ślusarni oberscharführer Kassner i jego zastępcą jednoreki rottenführer, którego nazwiska nie pamiętam. Nie miał on lewej ręki. Mimo swego kalectwa bił więźniów i znęcał się nad nimi. Specjalnych vorarbeiterów w ślusarni nie było. Podzieleni byliśmy na kolumny robocze, które pracowały przy poszczególnych stołach warsztatowych. Jeden spośród zatrudnionych przy tym stole, inteligentniejszy, który wyznawał się na rysunkach, był kolonnenführerem, on kierował pracą przy stole warsztatowym i był za nią odpowiedzialnym. Początkowo pracowaliśmy pomieszani razem z Żydami, Rosjanami i innymi narodowościami. W roku 1944, Żydzi utworzyli osobną kolumnę i pracowali w druciarni, kolonnenführerem był tam również Żyd. Schreiberami ślusarni byli: reichsdeutsch Galuska Bruno /nr10415/ rodem z Cie-



szyna, reichsdeutsch Ploch z Gdańska oraz Polacy: Bodnarowski z Krakowa i Czaja Wilhelm ze Śląska. Magazynierem centralnego magazynu narzędzi, był inż. Kubiński z Woźcie a jego pomocnikiem Huberkiewicz Edward z Leszna. Kreślarzem warsztatowym był Bolesław Giniń z Warszawy. -----

Gdy w dniu 20 sierpnia 1940 r. przydzielony zostałem do ślusarni nie znalazłem tam żadnych narzędzi rytowniczych, ani też odpowiednich narzędzi, przy pomocy których mógłbym sobie narzędzia rytownicze sporządzić. Prymitywnymi środkami ukulałem sobie rylce i rylcem tym zrobiłem pierwszą wizytówkę, dla ówczesnego komendanta obozu Krammera. Pracę tę wykonywałem kilka dni. Ponieważ robota moja podobała się Müllerowi, zatrudniony zostałem na stałe jako rytownik. Byłem napisy na różnych tabliczkach i naczyńkach przedmiotach, kutych przez więźnia Kaima. Jako grawer pracowałem przez cały czas, gdy ślusarnia mieściła się w starym budynku między blokami 1 a 2-gim, a w nowej ślusarni do grudnia 1940 r. W tym miesiącu Müller przyjął również Jana Buchtę z Krakowa jako drugiego grawera, a mnie przeniósł do tokarni. Jako tokarz pracowałem już do końca mego pobytu w ślusarni, najpierw jako zwykły tokarz, a później jako kolonnenführer. Kolona ta nazywała się "Maschinenkolone". Prócz mnie pracowali w niej: Zajac Kazimierz z Okocimia /nr 261/, Kaszubski Kazimierz z Kalisza, Brylski Alojz ze Śląska, Kubice Antoni z Bielska, Ryszard Malinowski z Brzeszcz, Lesch Stanisław z Maślachowic, jugosłowianin Pogaczar Józef z Lublany, i jakiś czas Ciohecki Kazimierz z Myszkowa, który w 1942 r. wywieziony został transportem do pracy w stoczni w Hamburgu. Jak już poprzednio zaznaczyłem, ślusarnia podlegała początkowo zarządowi Bauleitungu, w związku z czym wykonywaliśmy tam pracę, przede wszystkim na zlecenie tego oddziału administracji obozowej. Robiliśmy przeważnie śruby, ankry, i haki potrzebne do budowy baraków i bloków oraz inne wyroby żelazne potrzebne do urządzania tych bloków /wycieraczki/. Również przez Bauleitung otrzymywaliśmy



zamówienie na wykonanie różnych przedmiotów do mieszkań służbowych różnych SS-mannów. Były to przeważnie świeczniki, lichterze, popielniczki, żyrandole, lampy stojące, wieszaki itp. przedmioty, służące do ozdoby mieszkań. Specjalistą w tych rzeczach był więzień Liwacz Jan /nr 1010/. Dla robót tych miał on osobną kolonę, w skład której wchodził m.in. Struzik Roman z Limanowej, Obtułowicz z Żywca i artysta Leńczewski z Nowego Sącza. Przypominam sobie jeszcze z tej kolony Radwańskiego rodem z Warszawy i Ryguśka z poznańskiego, zdaje się z Leszna. Po objęciu Liwacza, Ryguśk objął jego kolonę. Kolonnenführerem kowali był Durski z Niska, z zawodu pracownik kolejowy, Kolonnenführerem ślaskarni był Daniłowski, rodem z Nowego Sącza. Prócz wymienionych pracowali w ślusarni: Dyntar Józef z Krakowa, Walczyński Modest z Mławy, Goderski Zygmunt z Poznania, Kostkowski Zygmunt z Lublina, Łoboda Jan z Limanowej, Wróbel, bedziec Piśma Świętego ze Śląska, Ryguśk z jakiejś wioski koło Leszna, Trynka Stanisław z Krakowa, ul. Mogińska 81, Szabelewski Stanisław z Warszawy, reichsdeutsch Real, Zalewski Józef z Warszawy, Mirek Stanisław z Nowego Sącza, Puzyger, zdaje się z Tarnowa, Pluta ślązak, który później poszedł do wojska niemieckiego, Teschner reichsdeutsch, który zmarł w Oświęcimiu, Niewiadomski Eugeniusz z Warszawy, Steriwo, Kibala, Lepich, Wachtel, Winterer i inni, których nazwisk nie pamiętam. -----

Jak już poprzednio wspominałem większość urządzenia ślusarni pochodziła z warsztatów szkoły klasztornej Salezjanów w Oświęcimiu. Stamtąd przywieziono również modele odlewnicze. Były to przeważnie postaci Chrystusa, krzyże, i wizerunki i figury świętych. Modele te zrzucono na stos w ślusarni. SS-manni i kapowie niemieccy łamali te rzeczy, deptali po nich, podchodzili do nas i naśmiewali się z nas, mówiąc, jacy jesteśmy głupcy, że w kawał żelaza wierzymy. Zdarzało się, że przy takiej okazji bili więźniów i zapytywali ich: "dlaczego On cię nie obroni", przy czym pokazywali i podstawiali pod oczy figurę Chrystusa lub świętego. Zatrudniony w ślusarni



inż. Kubiński z Mościc, chcąc kres temu położyć, ukrył te modele. Zastępca Müllera Herfurt dowiedział się o tym, zamyślił Kubińskiego, a wtedy on wszystkie modele stopił w piecu, a drewniane spalił. W roku 1942, zarząd obozu dostarczył do ślusarni pierwszy dzwon kościelny celem przerobienia go na gong obozowy. Dzwon ten pochodził z kościoła, z któregoś z pobliskich wiosek. Ozdobiony był ornamentami i napisami treści religijnej. Krx Ornamenty i napisy kazał Müller stoczyć na tokarni i na dzwonie wyryć napis "K.L. Auschwitz".) Pierwszy dzwon stoczył więzień Mielecki Władysław. Dzwon ten zamieszono na żelaznym trójnogu przed kuchnią. Ponieważ jednak zawieszono go sztywno, tak że poruszało się tylko serce dzwonu, pękł on po czterech miesiącach. Dalsze dwa dzwony przywieziono jednocześnie i te dzwony zostały stoczone, pozbawione ornamentacji i napisów kościelnych i również umieszczone na sztywno. Drugi na rogu kuchni przy placu muzycznym, a po jego pęknięciu trzeci na budynku kuchennym. Wszystkie trzy zmontowane były na sztywno i z tego powodu pękły. Czwarty umieszczono przed kuchnią w kapliczce, które do tej pory tam się znajduje. Ten dzwon umocowany ruchomo i utrzymał się do dzisiejszego dnia. Budkę, w której dzwon się znajduje nazwaliśmy "kapliczką św. Kaduka", od nazwiska osławionego w obozie reportführera Kaduka, który w budce tej przyjmował raport. Był to Ślązak z Chorzowa, mówiący bardzo dobrze po polsku. Wysoki, pochylony, około 35 lat liczący. Chodził stale pijany i był postrachem obozu. Bił więźniów bez żadnej przyczyny, wpadał na bloki, przeprowadzał rewizję, gdy znalazł u więźnia jakąś rzecz, pochodzącą z poza obozu, zabierał mu ją i albo takiego więźnia odprowadzał na oddział polityczny albo też wchodził z nim w układ i szantażował go. Najczęściej żądał od więźniów wódki i kiełbasy. Po likwidacji obozu oświęcimskiego spotkałem go w Mauthausen. ----- Jesienią roku 1942 pojawił się w Oświęcimiu lotnik z Wehrmachtu, Oberleutnant, Obermedizinal-Rat, dr Schumann, profesor z Berlina.



Był to mężczyzna około 38 lat, blondyn, wysoki ze szramą na lewym policzku. Zainstalował on przy pomocy inżynierów i pracowników Siemensu dwa aparaty roentgenowskie na bloku 30 obozu kobiecego w Brzezince. Po odjeździe pracowników Siemensu, przyjął do konserwacji tych aparatów Czecha, Stanisława Slezaka, zatrudnionego w kolonii elektryków Baulsitungu. Ze Slezakiem mieszkałem na jednym bloku. Opowiadał mi on do czego używane są owe aparaty i jaka jest ich konstrukcja. Aparaty roentgenowskie umieszczone były na podstawach konstrukcji metalowej i poruszone były na szynach zabetonowanych. Każdy aparat posiadał roentgen - bombę. Skonstruowane one były na 250 tysięcy wolt i 40 miliamperów. Przewody prądu były skonstruowane w ten sposób, że chłodzone były oliwą, przepływającą wewnątrz tychże przewodów. W zbiornikach pomp znajdowała się miedziana spirala, którą przepływała zimna woda dla chłodzenia oliwy, i wyłącznik rtęciowy, zabezpieczający aparaty przed przegrzaniem. Oba aparaty połączone były kablami z kabiną o podwójnych ścianach izolowanych ołowiem grubości 5 mm, w której znajdowała się aparatura kontrolna i aparatura do obsługi roentgen-bomb. W kabinie tej posiadającej szybę ołowianą siedział Schumann i obserwował przebieg zabiegu, oraz dozował naświetlenie. Przy pomocy tych aparatów sterylizowano kobiety i mężczyzn. Kobiety ustawiane między oboma aparatami na taborecie, przykładano w okolicy krzyża jeden filter roentgen-bomby, a z przodu filter bomby drugiego aparatu. Naświetlenie takie trwało od 5 do 15 minut. Napięcie i natężenie prądu oraz czas naświetlenia regulował sam Schumann, w zależności od tego co chciał przez naświetlenie osiągnąć. Po zabiegu takim wiele kobiet wymiotowało tam. Widzieliśmy je powracające pieszo z Brzezinki do Oświęcimia, gdzie umieszczano je na bloku 10-tym. Szły one pochylone i trzymały się za brzuchy. Wiele z tych kobiet na bloku 10-tym zmarło z powodu spalenia części naświetlanych. Inne, u których występowały owrzodzenia, posyłano do gazu lub szpilowano. Mężczyzn naświetlano tylko jednym aparatem.



Spalano tylko jedno jądro, drugie zasłaniano na czas naświetlenia - ołowiem. Po zabiegu wracali oni na bloki normalne, mieli najwyżej jeden dzień wolnego, a już w dniu następnym, bez względu na stan zdrowia, pędzili ich do pracy. Wielu z mężczyzn zmarło z powodu naświetlenia. Ci, którzy przeżyli, byli po miesiącu kastrowani przez Schumanna w szpitalu. Wycięte jądra zabierał Schumann do słoików i wywoził do Berlina. Do zabiegów wybierano młodych i zdrowych ludzi, przeważnie greckich żydów i żydówki, których na żądanie Schumanna wybierał z poszczególnych bloków, Schillinger. W czasie jednego posiedzenia Schumann dokonywał zabiegu na około 30 kobietach. Początkowo w pierwszych miesiącach urządzał on naświetlenia dwa do trzech razy w tygodniu. W maju r.1943 zepsuła się pompa obsługująca jeden z aparatów. Z książki ślusarni wynika, że pompę tę ja miałem wówczas naprawić /pozycja bieżąca nr 433/. Poleciał mnie wówczas Schumannowi Sleszak Otrzymywałem od Schumanna przepustkę, na podstawie której miałem wolny wstęp na oddział kobiecy. Wymontowałem obie pompy, zorientowałem się w ich konstrukcji i jedną rozmyślnie i świadomie tak zestawiłem, że zepsuła się ona i narzędziami stojącymi w ślusarni do dyspozycji nie mogła już być naprawiona. W ten sposób unieruchomiony został na trwałe jeden aparat. Aparat ten wysłał Schumann do Rzeszy celem naprawy. Od tej pory kobiet więcej nie sterylizowano, ponieważ do tego potrzebne były dwa aparaty, a czynny był tylko jeden. Sterylizowano więc tylko mężczyzn aż do września 1944. We wrześniu 1944 r. Schumann wyjechał. Aparaturę roentgenowską bloku 30-tego objął po nim Mengele, który używał jej do swoich celów. Resztę aparatury rozmontowano w grudniu 1944 r. i wywieziono do Rzeszy. -----

Opisanej aparatury używał również Schumann do przeprowadzenia eksperymentów nad leczeniem raka. W tym celu dostarczano mu cygańskie dzieci w wieku od 3 - 16 lat. Dzieci te wybierano z obozu cygańskiego. Posiadały one na głowie, w największej ilości wypad-



ków w jamie ustnej i na wargach owrzodzenia rakowe, które jak nam mówiono, wywołane zostały sztucznym przeszczepieniem. Eksperymenty te przeprowadził Schumann na około 80 dzieciach cygańskich, które wszystkie zmarły. Dzieci te stały do wyłącznej dyspozycji Schumanna, który jeździł do obozu cygańskiego i wybierał sobie dzieci do eksperymentowania. Rzuciło się wszystkim więźniom w oczy, że właśnie dzieci dotknięte są rakiem, podczas gdy u starszych cyganów, choroby tej nie widzieliśmy. Przepustki wystawionej mi przez Schumanna w maju 1943 r. w związku z naprawą pompy aparatury rentgenowskiej, nie zwróciłem mu, posiadałem ją stale przy sobie prawie do końca 1944 r. i na jej podstawie mogłem poruszać się swobodnie po całym obozie w Brzezince. Slezek, jako przydzielony na stałe do konserwacji tej aparatury, spędzał cały dzień roboczy na bloku 30-tym. W związku z tym przeniesiony został w styczniu roku 1944, na stałe do lagru w Brzezince. Posiadając przepustkę odwiedzałem go na bloku 30-tym i przy tej okazji miałem możliwość dokładnie poznać aparaturę znajdującą się tam oraz dowiedzieć się od Slezaka niektórych szczegółów zabiegów dokonywanych przy pomocy tej aparatury przez Schumanna. Kobiety niechętnie rozbiierały się i poddawały naświetlaniom. Schumann miał długą cienką różgę, którą bił ocierające się kobiety. Chodząc po obozie kobiecym przekonałem się, że SS-mężczyźni i SS-mężczyźni bili więźniarki tak samo, jak na oddziałach obozu bito mężczyzn. [Sam byłem świadkiem procedury wpuszczania do obozu kobiet, wracających z komanda pracy. Rottenführer Taube stał na bramie obozowej, trzymał laskę na wysokości około 50 cm. od ziemi. Kobiety powracające z pracy w drewnianych holenderskich skakałach musiały przez tę laskę. Te, które przeskoczyły szły na swoje bloki, a te które przez przeszkodę nie przeskoczyły, zapisywane były przez Schillingera i skierowywane następnie na blok 25-ty. W oddziale kobiecym był to magazyn ludzi niezdolnych do dalszej pracy, których po zapełnieniu się bloku, wywożono autami do gazu. Zaznaczam, iż kobiety wracające z pracy były wygłodzone, ponieważ obiadu na ko-



mandzie pracy nie dostawały. Posilek ten wydawano im dopiero wieczorem w obozie.] -----

Dokładne schematy aparatury roentgenowskiej i prospekty, ilustrujące przy pomocy materiału fotograficznego sposób używanie tej aparatury, a wreszcie spis osób, na których Schumann przy pomocy tej aparatury, wykonywał zabiegi, posiadał Slezak. W dniu 4 stycznia 1945 r. został on wysłany wraz z pięcioma aryjczykami z Sonderkommando do Mauthausen. Przed pójściem Slezaka do Sauny prosiłem go, by oddał mi te dokumenty do przechowania. Uparł się, zabrał je ze sobą i gdy widziałem go powracającego z Sauny nie miał teczki, w której dokumenty te przechowywał. W Mauthausen, dokąd zostałem później wysłany transportem, dowiedziałem się, że Slezak i owi aryjczycy z Sonderkommando zostali po dwóch dniach pobytu w obozie w Mauthausen rozstrzelani. Wiadomość tę podała mi najpierw Władysław ze Starachowic /nazwisko jego nie pamiętam/, a następnie potwierdził były raportschreiber w Oświęcimiu, Kistel, który jako więzień zatrudniony był w biurze politycznym w Mauthausen. Przed wyjazdem do Mauthausen, Slezak oświadczył mi, że z Oświęcimia wyjeżdża na specjalne żądanie Schumanna, i będzie dalej u niego pracować.-----  
Wiosną 1943 r. wykonałem pierwszą pracę dla rzeźni obozowej. Rzeźnia ta należała organizacyjnie do "Deutsche Lebensmittel Gm B.H.", która ubrana w formę spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, należała jednak do administracji obozu i zarządzana była przez SS-mannów. Kierownikiem spółki był untersturmführer Engelbrecht, a kierownikiem rzeźni najpierw unterscharführer Loss, a następnie unterscharführer Ormańczyk. Po Ormańczyku został szefem rzeźni unterscharführer Jany z Opola. Pierwszą pracą, którą dla rzeźni wykonałem, była naprawa szprycy do wyrobu kiełbas. Przy pracy tej nawiązałem kontakt z ludźmi zatrudnionymi w rzeźni, a w szczególności z moim przyjacielem pracującym w rzeźni, inż. Zaleckim Stanisławem, elektrykiem z Warszawy. Ułożyliśmy między sobą, że Zalecki co pewien czas w rzeźni coś zepsuje i będzie wzywał mnie do naprawy. Chodziło o to, bym mógł cho-



dzić do rzeźni i stamtąd wynosić mięso, słoninę, kielbasę i inne środki żywności. Ponieważ wszystkie roboty dla rzeźni wykonywaliśmy w ślusarni bez zlecenia jej kierownictwa, wobec czego mogłem rozmawiać zarówno z Lossem jak i Engelbrechtem na temat wynoszenia przeze mnie z rzeźni artykułów mięsnych. Zapowiedzieli oni postępowkom, iż ja za pracę wykonywaną dla rzeźni otrzymuję oficjalnie od nich środki żywności, i dlatego nie należy mnie rewidować. Oczywiście zezwalali mi oni na zabranie kawałka kielbasy, ja zaś zabierałem każdorazowo po 6 kielbas i wynosiłem je do ślusarni. Będąc w rzeźni sam najadłem się do syta, tak że wykradzione kielbasy mogłem rozdzielić między kolegów, lub wysłać do szpitala. Umówiłem się zresztą z Załęckim, że trzy kielbasy rozdzielię w ślusarni, a trzy pójdą na bloki i do szpitala. Z rzeźni wynosiłem towar pod pasem. Początkowo nie miałem w tym sprawy, ale z czasem wywodziłem się i jak już zaznaczyłem udawało mi się neraz przenieść 6 kielbas jednokilogramowych. Część przeznaczoną do obozu transportowaliśmy tam w ten sposób, że ładowaliśmy kielbasy w wydrążenie dyszla wózka, którym przywożono nam obiad, do specjalnie w tym celu przyrządzonego kotła na zupę lub do butli od aparatu do spawania. Komando rzeźni wraz ze swoim kapem Zdżiskiem z poznańskiego pracowało bardzo ofiarnie, ułatwiało wynoszenie z rzeźni i sami ludzie z tego komanda również dużo z rzeźni wynosili. Specjalistą od tego był więzień Tadek Bant z Żywca, który pracował przy wywozie kości z rzeźni. Ładował do taczek kielbasy, przyrzucał je kośćmi i wywoził poza strażę rzeźni, skąd inni więźniowie produkty te zabierali i przemycali do obozu. Bardzo dużo wyniósł z rzeźni na obóz m.in. ks. Ojciec Augustyn Mańkowski. W związku z tym wymienić by należało jeszcze więźnia Zawadzkiego Mieczysław z Warszawy, który pracował w chłodni rzeźni i zupełnie bezinteresownie umożliwiał wykradanie towarów, wysyłając je windą do góry, skąd inni więźniowie towary te zabierali. Oczywiście przy rozgałęzionym systemie szpiegowania nie obeszło się i tu bez ofiar. Jesienią 1943 rozstrzelano 4 ludzi w



związku z wynoszeniem mięsa i kiełbas z rzeźni. Zatrudnieni w rzeźni Stanisław Cygan z Krakowa, Stanisław Witek z Limanowej i trzeci więzień Polak, którego nazwiska nie pamiętam, wynieśli z rzeźni pół świni. Mięso odebrał od nich Wilhelm Kłak, pochodzący z Krynicy, zatrudniony w melarni i przetransportował na blok 15 a. Tam dokonano rozdziału pomiędzy więźniów. Dowiedział się o tym wymieniony już przeze mnie konfident oddziału politycznego Dorosiewicz i sprawę wysypał. Kłaka wezwano na oddział polityczny, zbito go i przyprowadzono do rzeźni. Tu ustawiono wszystkich więźniów, pośród których Kłak wskazał Cygana, Witka i owego trzeciego, którego nazwiska nie pamiętam, jako sprawców kradzieży. W sprawę tę zamieszanych było więcej więźniów, których Kłak jednak nie wydał. Cygan i dwaj pozostali mimo, iż na oddziale politycznym torturowano ich w straszliwy sposób, żadnego z dalszych współników nie wydali i tylko oni trzej oraz Kłak zostali rozstrzelani.-----  
Przy czyszczeniu flaków cielęcych w rzeźni zatrudniony był więzień Stanisław, którego nazywaliśmy "Stanisław Rodzinka", ponieważ do wszystkich więźniów mówił: "jak się masz kochana rodzino". Był to starszy mężczyzna, praca była ciężka, żalił mi się więc i mówił, że gdyby nie chodziło mu o jedzenie, rzuciłby tę pracę. Obserwując narzędzie, którym "Rodzinka" obrabiał flaki, doszedłem do przekonania, że można by je udoskonalić i wpadłem na pomysł skonstruowania specjalnej maszyny do rozcinania flaków cielęcych. Powiedziałem to Rodzince, a Rodzinka szefowi rzeźni Lossowi. Ten pertraktował ze mną, zgodził się na żywienie mnie i wydawanie mi poza rzeźnię kiełbasy, byłem mu tylko skonstruować taką maszynę. Pracę przeciągałem umyślnie dość długo, chodziłem często z byle jakim kawałkiem żelaza do rzeźni, przymierzałem to żelazo do flaków i w ten sposób konstruowałem około 3 tygodni ową maszynę. Ponieważ Loss zaczął się niecierpliwieć, wobec tego musiałem ostatecznie pracę zakończyć i przyrzeczoną maszynę rzeczywiście wykonałem. Przyspasała ona pracę dziesięciokrotnie, przy czym sama praca stała się zupełnie



lekko. Loss był bardzo zadowolony z mojej pracy i zażądał ode mnie abyś zrobił mu rysunki techniczne i opis techniczny maszyny. Zapytany przeze mnie, do czego to mu jest potrzebne, dał mi wymijającą odpowiedź. Okazało się później, iż ów Loss opatentował skonstruowaną przeze mnie maszynę na swoje nazwisko w Katowicach lub we Wrocławiu i patent sprzedał jakiejś firmie rzeźniologicznej. W jakimś czasie później wezwano mnie do oddziału politycznego, gdzie okazało mi nadeszła tam pismo, według treści którego zabroniono ślusarni obozowej wyrobu takiej maszyny. Treść tego pisma podano mi do wiadomości i zakomunikowano, mi, iż - aby nie do zakazu wyroku nie stosować się, będę sędziwie karany. Zobowiązanie takie musiałem w oddziale politycznym podpisać. Po odejściu Lossa z rzeźni, zabrali on stamtąd i tę maszynę, która była zrobiona dla rzeźni. Wówczas Engelbrecht zamówił u mnie drugą maszynę, której konstrukcję zmieniłem jednak, nie chcąc popaść w konflikt z oddziałem politycznym i naruszyć praw patentowych Lossa. Zasada pozostała ta sama, zmieniłem tylko szczegóły techniczne. Maszyna, która obecnie znajduje się w posiadaniu Komisji, jest właśnie tą drugą maszyną, którą na zamówienie Engelbrechta dla rzeźni obozowej wykonałem. W związku z konstruowaniem tej maszyny, zarówno Loss jak i jego następcy oraz Engelbrecht pozwalali mi wnosić z rzeźni mięso i kiełbasy, oraz na moją prośbę, zezwolili mi na wynoszenie z rzeźni wiadra zupy dla więźniów, którzy wraz ze mną w ślusarni pracowali. Zatrudnieni w rzeźni więźniowie do wiadra tego wrzucali drobno zmielone mięso, rozpuszczali w zupie kiszkę psztetowe przeznaczone dla SS-mannów i dolewali smalcu, tak że wynoszoną przeze mnie potrawą pożywiać mogłem i podtrzymać na siłach bardzo wielu więźniów. Sam zupy tej nie jem, ponieważ obchodząc do rzeźni jadłem tam na miejscu. Będąc syty, oddawałem również więźniom moją porcję legro-  
nu. Zupę z rzeźni rozdzielałem pomiędzy najsłabszych, którzy z głodu utracili zupełnie siły. Cozywiście na tle podziału dochodziło do nieporozumień, bo nie byłem w stanie jednym wiadrem nakarmić dwustu ludzi. Lmo to, kierowałem się przy rozdziale przede-



wszystkim tym, czy ktoś potrzebuje rzeczywiście z uwagi na stan zdrowia dożywienia. Po wyapie Dorosiewicza i Kłaka zastrzeżono kontrolę w rzeźni, i zaczęto mnie również rewidować. W związku z tym musieliśmy szukać innych sposobów. Więźniowie zatrudnieni w rzeźni, wysyłali towary poza jej obręb przez mleczarnię, przez otwór prowadzący do budynku mleczarni. Otwór ten był szczelnie zamaskowany i znany tylko wtajemniczonym. Sprawę tę kierował Zalecki. Dla ślusarni przenosiliśmy towary z rzeźni w butlach do aparatów spawalniczych. W butli takiej wmontowałem denko w odległości 150 mm od zaworu. Przestrzeń pomiędzy tym drugim denkiem a zaworem napełniałem acetylenem. Gazu tego wystarczało mi do spawania przez około 1 godzinę, małym palnikiem. Reszta wnętrza butli przeznaczona była na transport kiełbasy. Wkładaliśmy je tam po odkręceniu dna butli. Zalecki starał się już o to we własnym zakresie, by spawacze jak najczęściej potrzebni byli w rzeźni. Butla tę przewożiliśmy również mięso i wyroby mięsne do Brzezinki na oddział kobiecy dla matek i sióstr więźniów w rzeźni lub u nas zatrudnionych i dla innych kolegów więźniów. Bardzo dużo produktów z rzeźni szło dla więźniów chorych. W rzeźni zatrudnionych było około 120 więźniów, przerabiano tam dziennie duże ilości mięsa, dochodziło do tego, iż w pewnych dniach było w chłodni nawet do 80 tysięcy kg. mięsa. Rachunkowość i księgowość rzeźni prowadził kapo Zdzisek, który w księgowości tej krył oczywiście wszystko to, co dla więźniów poza rzeźnią w sposób nielegalny wychodziło. W październiku 1944 r. wysłano Zdziska jak i wielu innych więźniów transportem do Bzeczy. Kapem został w jego miejsce reichsdeutech - Willi. Po skontrolowaniu ksiąg okazało się, że za czas, w którym kapem był Zdzisek, pomimo iż Zdzisek i jego ludzie starali się braki powstałe przez wynoszenie towarów na obóz nadrabiać wodą i w inne im znane sposoby, brakuje około 10 tysięcy kg przeważnie słoniny i tłuszczu. W sprawie tej złożył oddziałowi politycznemu wyjaśnienia Manek, więzień, który ze czasów Zdziska był schreiborem. Pochodził on ze Śląska i był



volksdeutschem. Po jego wyjaśnieniach wysłano z Oświęcimia 3 SS-mannów, celem dotransportowania Zdziska dla przeprowadzenia dochodzeń. Zdzisek zorientował się o co chodzi i w czasie podróży wyskoczył z pociągu. Co się z nim stało i czy żyje nie wiem. W każdym razie SS-manni z Oświęcimia go nie przywieźli. -----  
Pierwsze rozstrzeliwanie więźniów po moim przybyciu do obozu obserwowałem z ślusarni, gdzie jak już wspomniałem pracowaliśmy także po apelu wieczornym. Rozstrzeliwania odbywały się w tym czasie przy palikach, które znajdowały się w tym miejscu, gdzie później wybudowano nową rzeźnię. Było tam wkopanych w ziemię 8 palików, w odległości około 3 metrów jeden od drugiego. Każdy palik miał kółko żelazne, do którego przywiązywano więźnia rękami wykręconymi do tyłu. Rozstrzeliwań dokonywał pluton egzekucyjny w hełmach, którym dowodził oficer służbowy SS. Rozstrzeliwanych, którzy byli rozebrani do pasa nie zawiązywano czoła. W grudniu 1940 r. przywieziono autobusem 40 Polaków z Katowic. Byli oni ubrani tylko w dreluchy, bez bielizny, bez butów i bez czapek. Trzymano ich boso na śniegu około pół godziny. Po jakimś czasie przyszedł komendant obozu Hess wraz z Grabnerem z oddziału politycznego i zawiadomili skazańców, że nie zostaną rozstrzelani, ponieważ zostali ulaskawieni i karę śmierci zamieniono im na dożywotnie więzienie. Wszystkich tych więźniów oznaczono literami "I.L.", wcielono do karnej kompanii i umieszczono na bloku 11, który oznaczony był wówczas numerem 13. Ludzie ci w stroju jaki już poprzednio opisałem, a więc boso, bez bielizny i bez czapek pracowali na placu apelowym przy zwijaniu drutu i obijaniu cegieł z zaprawy. Pracę tę musieli oni wykonywać w pozycji siedzącej, siedząc na kamieniu i na skutek przemarznięcia wszyscy w ciągu tygodnia zmarli. Później odbywały się rozstrzeliwania dokonywane przez pluton egzekucyjny w dołach ziemnych, tam gdzie obecnie znajduje się blokführerstuba, przed bramą wjazdową "Arbeit macht frei". Stąd przeniesiono plac rozstrzeliwań dalej w stronę bocznic kolejowej w kierunku obecnego bahofu. Tam dokonano w lipcu r.1942,



91  
pierwszego większego rozstrzeliwania. Rozstrzelano mianowicie 82 Polaków, przeważnie z Krakowa pochodzących, wszystkich wybranych spośród więźniów przez oddział polityczny. W grupie tej rozstrzelany został Lyko, ligowy gracz w piłkę nożną z Cracovii. Pamiętam go dlatego, ponieważ przed rozstrzelaniem pracował w ślusarni. Z grupy Lyki rozstrzeliwano ludzi dziesiątkami. Wszyscy oni mieli ręce powiązane do tyłu drutem, i ci z ostatniej dziesiątki przyglądać się musieli przez cały czas, tak że na ich oczach rozstrzelano ponad 70 towarzyszy. Opowiadali nam to więźniowie, którzy byli zatrudnieni przy usuwaniu zwłok osób rozstrzelanych oraz więźniowie, zatrudnieni w kuchni, którzy przez okna obserwować mogli scenę rozstrzelania. Dowiedzieliśmy się od nich, poza podanymi już przeze mnie szczegółami że po rozstrzelaniu każdej dziesiątki przez pluton egzekucyjny, lager führer Fritsch, znany wśród więźniów polakożerca i zastępca jego Seidler, podchodzili do rozstrzelanych i Fritsch albo Seidler oddawał z pistoletu "honorowy strzał" w głowę zmasakrowanych już zwłok, leżących na ziemi, po umilknięciu salwy plutonu egzekucyjnego. Fritsch mówił przy tym: "Świńskie psy, Polacy, nie jesteście warci tego strzału". Późnym latem r. 1942 wybudowano na podwórzu bloku 11-tego tzw. "czarną ścianę śmierci". Jak wiadomo blok 10 i 11-ty połączone są wysokim murem. Przed murem od strony drutów wkopano na podwórzu bloku 11-tego podkłady kolejowe, wysokości około 2 metrów, szerokości do 4 metrów. Między tą ścianą z progów a mur wsypano piasek i ziemię. Front ściany obito papą. Odtąd odbywały się rozstrzeliwania pod ścianą śmierci. Jako pierwszych rozstrzelano tam w dniu 11 listopada 1942 r. 42 Polaków, wybranych spośród więźniów przez oddział polityczny. Wśród nich znajdowali się więźniowie Przybyło i Kowalik, obaj pochodzący z Bochni. I ci dwaj pracowali w ślusarni i dlatego nazwiska ich pamiętam. Wszystkich 42 rozstrzelał Palitsch. Prócz niego przy innych rozstrzeliwaniach brali m. in. udział Fitze i Lachmann, obaj z oddziału politycznego /Fitze raportführer/ oraz jeszcze jeden SS-mann, zastępca arbeitsdienstführera. Nazwiska jego nie przypominam sobie. Rozstrzeliwanie przy ścianie śmierci odbywało się w ten sposób



że blokowy bloku nr 11 wyprowadzał 2 więźniów na podwórze, stawał wraz z nimi trzymając ich pod ręce, zwrócony twarzą do czarnej ściany. Palitsch podchodził z tyłu i strzelał skazańcom z bezpośredniej odległości w tył głowy. Lagerältester odpychał zastrzelonego na bok, skąd zwłoki zabierali więźniowie, pełniący funkcje pielęgniarzy w szpitalu. Zwłoki układano w stosy na krzyż. Początkowo ładowano po dwa zwłoki do jednej trumny i na rolwadze wywożono do krematorium. Gdy było większe rozstrzelanie, ładowano zwłoki bez trumien na rolwagę. Krew zbierali ci pielęgniarze łopatami w żelazne koryta i wylewali do kanału. Następnie posypywano podwórze całe piaskiem i dopiero po takim wysprzątaniu ludzie z kompanii karnej mogli wejść na podwórze. Całą drogę, którą przejeżdżał wóz ze zwłokami od podwórze bloku 11-tego aż do krematorium, zbroczona była krwią, która obficie ciekła z przewożonych do krematorium zwłok. Osobiście obserwowałem rozstrzelanie pod czarną ścianą w dniu 11 listopada 1942 r. Wraz z więźniem Stetiwo ze ślusarni naprawialiśmy wówczas blachę koło komina na dachu bloku 20-tego. Ukryliśmy się za kominem, aby nas nie spostrzeżono i stamtąd mogliśmy całą egzekucję dokładnie zaobserwować. Widzieliśmy, iż więźniowie doprowadzeni pod czarną ścianę, o ile nie mieli związanych rąk, zegnali się znakiem krzyża. Po pierwszym przeżegnaniu się, Palitsch komenderował "noch einmal" i gdy więzień przyłożył rękę po raz drugi do czoła, wówczas padał strzał. W grudniu r. 1942, po nocach rozstrzelano tam bardzo wielu jeńców rosyjskich, których rano przepędzano na blok 11 setkami. Sypiałem wówczas wraz z Szablewskim, Waliszewskim i Walozakiem na korytarzu bloku 10-tego, i dlatego też słyszałem każdy strzał. Pewnej nocy rozstrzeliwało dwóch SS-mannów; przypuszczam, że pomocnikiem Palitscha - jego poznałem po głosie - był Fitze. Sądzę, iż owej nocy rozstrzelali oni od godz. w pół do dziesiątej wieczorem do godz. 4-ej rano około 1500 jeńców rosyjskich. Gdy rano zajrzałem z waschraumu bloku 10 na podwórze bloku 11, całe podwórze zasłane było trupami. Trupy te



na wozach wywieziono do Brzezinki i tam je pogrzebano. W r. 1943 rozstrzelano na bloku 11-tym 260 więźniów przybyłych transportem z Lublina. Jak nam później mówiono, w tym czasie dokonano jakiegoś większego sabotażu w lubelskim. Na zarządzenie gestapa lubelskiego oddział polityczny wybrał spośród więźniów tych, którzy przybyli transportami z Lublina. Wszystkich 260 umieszczono na bloku 11-tym i następnie Palitsch i Fitze ich rozstrzelali. Przez cały ten czas tzn. od roku 1940 do maja 1943, odbywały się bezustanne rozstrzeliwania. Więźniowie byli bardzo podenerwowani i zaniepokojeni, oddział polityczny doszedł do przekonania, iż należy wyszukać inny sposób uśmiercania, ponieważ rozstrzeliwanie wywołuje niepokój w obozie. Palitsch urządził odprawę wszystkich blokowych i polecił im zakomunikować więźniom na blokach, że odtąd rozstrzeliwań w obozie nie będzie, ponieważ kara śmierci została zniesiona. Od tego czasu wcielano wszystkich skazanych i przez oddział polityczny na śmierć przeznaczonych, do komanda kosiarzy. Komando to w zasadzie liczyło 60 ludzi. Ponadto przydzielano do tego komanda, też przez arbeitsdienst, ale na wyraźne zlecenie oddziału politycznego, wszystkich skazanych na śmierć. Ludzi tych rozstrzeliwano na miejscu pracy pod pozorem ucieczki. Do lagru przywożono ich na wozach przykrytych trawą. Szczegóły rozstrzeliwań dokonywanych na bloku 11-tym opisać może najdokładniej Ryszard Malinowski z Brzeszcz, który w okresie największych rozstrzeliwań przebywał na bloku 11 około 14 miesięcy. ----- Pierwsze egzekucje przez powieszenie zaobserwowałem w obozie latem 1943 r. Egzekucje te odbywały się po apelu wieczornym. Wszystkich więźniów z całego obozu ustawiano na placu apelowym, na którym ustawione były w czasie pierwszej egzekucji, przy której byłem, 2 szubienice. Skazanych ustawiono obok szubienic. Tu Lachmann odczytał im w języku polskim wyrok, z którego treści wynikało, iż obaj skazani zostali na śmierć przez powieszenie za próbę ucieczki. Obaj skazani mieli ręce do tyłu związane, mieli na sobie tylko dreluchy, nie posiadali bielizny, butów ani czapek. Byli to młodzi Polacy, jeden mógł



mieć 20 a drugi około 25 lat. Na zarządzenie ówczesnego lagerführera Aumeiera zaprowadzono obu skazanych po odczytaniu im wyroku do schronienia na bloku 24, gdzie wymierzono im jeszcze po 25 kijów. Następnie przyprowadzono obu pod szubienicę. Po taborecie każdy wszedł na podstawę jednej szubienicy. Tu założyli im na szyję pętlę dwaj więźniowie, przyprowadzeni pod szubienicę z bunkra 11 wraz z obu skazanymi. Ci dwaj zakładający pętlę byli również skazani na śmierć i zostali po kilku dniach na tych samych szubienicach i w ten sam sposób powieszani. Tym dwu następnym zakładał pętlę kapo farbereitschaftu, znany w obozie konfident, reichsdeutsch, Maniewski Johann, z Poznania. Był to były szofer gestapo, miał numer z czerwonym winklem. Szubienice były różnie zbudowane. Na jednej z nich wieszano przez wrywanie z pod nóg więźnia stołka, na którym on stał, a druga miała korbą zapadnię. Przy straceniu pierwszych dwóch więźniów, stołek z pod nóg więźnia wyrwał lagerältester Bruno nr 1, reichsdeutsch z zielonym winklem. Nazywał się on Brodniewicz, pochodził również z Poznania. Zapadnię drugiej szubienicy otworzył za pomocą korby SS-mann Kaduk. Wisielec z szubienicy z zapadnią męczył się dość długo, widocznie pętlę miał źle założoną, bo próbował nogami się oprzeć o brzegi zapadni, a wówczas podbiegł Bruno, chwycił wisielca za nogi i szarpnął go w dół kilka razy. Złotki wisiał na szubienicy przez całą noc. Oba skazani zachowywali się przed egzekucją zupełnie spokojnie, stali z głowami podniesionymi do góry, nie płakali i nic nie mówili. Po kilkunastu dniach w tym samym miejscu i na tych samych szubienicach powieszono dalszych dwu skazanych. Byli to również Polacy, młodzi chłopcy, którzy skazani zostali na karę śmierci przez powieszenie za próbę ucieczki. I tym razem SS-mann z oddziału politycznego, mówiący po polsku, odczytał wyrok. Jeden ze skazanych płakał, prosił by go nie wieszano, że ma jeszcze coś do zeznania. Prośba ta nie odniosła skutku i skazaniec został powieszony. Trzecia egzekucja odbyła się na alei pomiędzy blokiem 6 a 16-tym. Powieszono wówczas jednego cywila z wolności, który skazany został na śmierć za udzielanie więź-



niom pomocy. Owych 12 więźniów z beaufitungu z biura pomiarów, zasypanych przez Dorosiewicza, powieszono na placu przed kuchnią. Wkopano tam 2 słupy, na których wierzchołkach umocowano szynę kolejową. Do szyny tej przywiązano 12 postronków, pod którymi stało 12 taboretów. Wieszeli kapo strassenbau, Niemiec Sepl. Wszyscy skazańcy stali na swoich taboretach i obserwowali jak kolejno wieszają się ich koлегów. Dwunasty z owej grupy był świadkiem stracenia wszystkich 11-tu poprzednich. Później odbywało się wieszanie więźniów na podwórzu bloku 11-tego. Oczywiście już bez asysty więźniów. Dwukrotnie jeszcze wyniesiono szubienice z bloku 11 i dokonano stracenia przez powieszenie 2 żydów w różnych odstępach czasu. Jeden z nich zabłądził w czasie alarmu, przedostał się poza linię straży nad Sołą, bał się przejść przez wodę na drugą stronę rzeki i wrócił do obozu. Zatrzymany został przez stójkowego i za rzekomą próbę ucieczki skazany na śmierć przez powieszenie. Publicznych egzekucji przez powieszenie dokonywano dla odstraszenia innych więźniów przed próbami ucieczki. Temu samemu celowi służyło publiczne demonstrowanie zwłok więźniów, zastrzelonych w czasie ucieczki. Najczęściej więźniów taki nie miał w ogóle zamiaru uciekania. Zasnął po prostu gdzieś w sianie lub w innej kryjówce i nie stawił się do wieczornego apelu. W takich razach włączano akcję poszukiwania i gdy znaleziono brakującego więźnia, strzelano go na miejscu. Zwłoki układano następnie podparte na stole przed blokführerstubą, obok bramy "Arbeit macht frei" i rano dnia następnego musiały przechodzić obok nich wszystkie komanda, wyruszające do pracy. W czasie przemarszu wszyscy więźniowie patrzeć musieli w prawo tzn. w kierunku zwłok. Zwłoki te były najczęściej w straszny sposób zmasakrowane. Przypominam sobie, że pewnego razu maszerowaliśmy tak obok 4 zwłok, którym wychodziły wnętrzności z jamy brzusznej. Byliśmy przekonani, że zwłoki te już po śmierci, w odpowiedni sposób dla stworzenia odrażającego i odstraszającego widoku, kaleczono. Owi czterej więźniowie zastrzeleni zostali przez stójkowego SS-manna na komandzie pracy. Na komandzie tym pracowało 5 więźniów. SS-mann



zasnął, a wówczas jeden z więźniów zbiegł. Po przebudzeniu się SS-mann zastrzelił pozostałych 4, tłumacząc następnie wobec swoich wiedz, że wszyscy więźniowie usiłowali zbiec, że w czasie ucieczki zastrzelił 4, a piąty zbiegł. Wieszano również w obozie w Brzezince. Tam egzekucje odbywały się na słupach murowanych zbiornika z wodą, stojącego przed kuchnią obozową. Powieszono tu między innymi więźnia Galickiego Edwarda z Jarosławia / nr 531/. Był to chłopiec w dwudziestym roku życia. Przed straceniem stojąc na taborecie pod pętlą stryczka krzyknął on "Niech żyje Polska", wsunął głowę w pętlę i starał się usunąć taboret z pod nóg. SS-manni podbiegli do niego, zdjęli pętlę z szyi, uderzył go któryś i ponownie założył pętlę i powiesił. Na tej samej szubienicy powieszono również 3 Rosjan, którzy zbiegli z obozu i po jakimś czasie zostali ujęci. Zarzucono im oprócz ucieczki zamordowanie jakiegoś Niemca. Jeden z owych Rosjan, bardzo silny mężczyzna, stojąc już pod stryczką, krzychał: "Niech żyje Rosja, niech żyje Stalin, niech żyje Polska, idziemy na śmierć, ale zostaniemy pomęczeni, bo bracia nieś o nas nie zapomną". Obecny przy egzekucji SS-mann Boger z oddziału politycznego uderzył owego Rosjanina ręką w usta. Rosjanin krzychał mimo to dalej i gdy Boger wchodził po schodkach na stół, na którym stał ów Rosjanin pod stryczką, kopnął Bogera w gardło. Boger spadł ze schodków. Podniósł się, wszedł ponownie na stół i chciał owemu Rosjaninowi, który miał ręce w tył związane, wepchać chusteczkę do ust. Gdy się mu to nie udało, wyciągnął nóż, rozciął owemu Rosjaninowi usta z obu stron, kawałkiem żelaza rozwarł zaciśnięte zęby i nożem wyciął język. Tak okaleczonego powieszono razem z dwoma dalszymi Rosjanami, którzy zachowywali się biernie. Egzekucja ta odbyła się na oczach Polaków i Rosjan, którzy bez jakiejkolwiek komendy podczas egzekucji zdjęli czepki i w ten sposób oddali cześć ginącym. ----- Według moich wiadomości pierwsze gazowanie odbyło się w nocy z 14 na 15-tego i w ciągu dnia 15. sierpnia 1941 r. w bunkrach bloku 11-tego. Datę tę pamiętam dokładnie, ponieważ zbiegała się ona z pierwszą



rocznicą mego przybycia do obozu, oraz dlatego, że gazowano wówczas pierwszych jeńców wojennych rosyjskich. W dniu 14 sierpnia 1941 r. wieczorem przenieśli pielęgniarze około 250 chorych z bloków szpitalnych na blok 11-ty. Następnie na blok ten wpędzono kilkuset jeńców rosyjskich, o których mówiono nam, gdy przybyli do obozu, że są to polityczni komisarze. Zarówno chorych jak i owych jeńców rosyjskich umieszczono w bunkrach bloku 11-tego. Okienka z tych bunkrów były szczelnie zasypane ziemią. Do bunkrów wypywał gaz przez drzwi od strony korytarza SS-mann blockführer, którego nazwiska nie znam, a który wśród więźniów nazywany był "Tom Mix". Po wsypaniu gazu zamknięto drzwi. W dniu 15 sierpnia około godz. 4-tej popołudniu Palitsch z maską gazową przeszedł przez plac apelowy do bloku 11-tego. Z racji święta Matki Boskiej mieliśmy wówczas popołudnie wolne i mogliśmy dlatego sceny, które teraz opisuję, obserwować. Mietek Borek i Wacław Ruski, kalafaktorzy na bunkrze 11-tym opowiadali mi, że Palitsch ubrany w maskę gazową otworzył drzwi bunkrów i stwierdził, że znajdujący się tam ludzie jeszcze żyją. Wprawdzie poruszają się tylko na czworakach i są bezsilni, ale są jeszcze żywi. Wówczas wezwano Tom Mixa, który ponownie wsypanął zawartość puszek gazowej do bunkrów. Ponownie otweto bunkry dopiero 16. sierpnia 1941 r. wieczorem. Nikt z przebywających tam już nie żył. Pflegerzy bloków szpitalnych wynosili zagazowanych na podwórze, gdzie rozbierano trupy z ubrań, ładowano na rolwagi i wyłożono w kierunku Brzezinki. Trwało to całą noc. Noc tę spędziłem na bloku 21 w gabinecie dentystycznym Janusza Kuczbery. Transportowanie zwłok z gabinetu tego mogłem dobrze obserwować. Pod oknami gabinetu zjechała się rolwaga, zwłoki spadły na ziemię i wówczas widziałem, że były one koloru zielonkawego. Pflegerzy opowiadali mi, że zwłoki były oślizgłe i skóra schodziła z nich, w wielu wypadkach miały poobgryzane palce, popodgryzane gardła. Widać było z tego, że ludzie ci ginęli w strasznych męczarniach. Następne gazowania odbywały się już w komorze krematorium pierw-



98  
szego. Kierownikiem gazowania w tym krematorium był Hessler. Obserwowałem osobiście ze schodów dawnego bloku 4 /12 według nowej numeracji/ przez lukę między oboma budynkami administracyjnymi, jak Hessler wrzucał przez kominki sterujące ponad kopiec krematorium w pobliżu wentylatora, zawartość puszek gazowej do bunkra. Z zastrzeżenia szpitala SS widziałem, że obok wrzutni rozsypane były kamyczki koloru seledynowo-niebieskawego, wielkości fasoli. Ludzi przeznaczonych do gazowania spędzano wieczorem po speli na podwórko przed wejściem do krematorium. Podwórko to otoczone było wysokim murem z płyt cementowych. Aż na bloki nasze dochodziły stamtąd krzyki. Słyszeliśmy również strzały dochodzące z tamtej strony. Gazowanie odbywało się po gongu wieczornym. Piece krematoryjne paliły w tym czasie bez przerwy. Gazowano w tym czasie jeńców rosyjskich, Żydów, Polaków, aryjczyków i muzułmanów, wybieranych ze szpitala. Zwłoki chorych i Rosjan zagazowanych w sierpniu 1941 r. w bunkrach bloku 11-tego nie spalono w krematorium, tylko jak już wspomniałem, wywieziono je w kierunku Brzezinki i tam pogrzebano w ziemi. Mimo, iż warstwy trupów przesypanyo chlorem i wapnem, w lecie roku 1942 pod wpływem ciepła, zwłoki te zaczęły gnić i mogiła ugięła się jak trzęsawisko. Po jakimś czasie wybuchły gazy gnilne, wobec czego musiano mogiły te zlikwidować. Przekopywano groby i warstwy przepalano, znajdującą się w nich masę gnilną przy pomocy miotaczy ognia. Ponieważ w tym czasie naprawiałem zepsuty zawór od butli gazowej, przyniesionej do ślusarni przez SS-manna "Perekę", przeto wiem, że do przepalania tych zwłok używano miotaczy acetylenowych. Zwłoki osób zagazowanych później w chatkach w Brzezince również grzebano w ziemi. Zwłoki te odgrzebano później i spalono w krematorium w Brzezince. -----  
Zadnych większych robót konstrukcyjnych dla krematorium I w Oświęcimiu w ślusarni nie wykonaliśmy. Przypominam sobie, że dla krematorium tego wykonaliśmy w ślusarni według modelu Firmy Topf wózek do ładowania zwłok do pieców, ruszta, ramy żelazne dla komina, ruszta do generatorów i rurę wentylacyjną z komory gazowej. Poza tym



wykonywaliśmy tam drobniejsze reperacje. W związku z tymi pracami znałem ludzi zatrudnionych w sonderkomandzie obsługującym I Krematorium. Przypominam sobie, że pewnego razu piekłem z Mietkiem, Józkim i Wackiem królika na generatorze. Ponieważ w tym czasie wszedł prawie do pokoju przed komorą Lachmann z karabinkiem, nie mogłem już wyjść i musiałem przeczekać w ukryciu za piecem, aż Lachmann wyjdzie z krematorium. Z ukrycia tego widziałem, iż Lachmann stojąc za drzwiami, strzelał ludzi wchodzących do drugiego pokoju przed komorą gazową. Dwóch więźniów z sonderkomandy łapało przewracającego się po strzale więźnia i odkładało na bok. W mej obecności zastrzelił on 6. Byli to sami Polacy, przywiezieni samochodem ze Śląska, zdaje się z Myszkowic. Dla krematoriów w Brzezince robiliśmy obramowania żelazne dla wszystkich pieców krematoryjnych, wszystkie ruszta, wyciągi dla podnoszenia zwłok, okucia do wszystkich drzwi, oraz haki, pogrzebacz i narzędzia potrzebne do obsługi pieców i do spalania w dołach. Instalatorzy wykonywali dla tych krematoriów instalacje wodne i kanalizacyjne. Większość tych robót odnotowane jest w książce zamówień ślusarni, którą mi obecnie okazano. Między innymi w ślusarni wykonane zostały ślepe tusze, przeznaczone do komór gazowych oraz słupy siatkowe do wrzucania zawartości puszek cyklonowych do komór gazowych. Były to słupy wysokości około 3 m. o przekroju kwadratowym, około 70 cm. Słup taki składał się z 3 siatek umieszczonych jedna w drugiej. Siatka zewnętrzna zrobiona była z drutu 3 mm usztywnionego na kantówkach 50 x 10 mm. Kantówki takie znajdowały się we wszystkich rogach słupa i u góry oraz u dołu połączone były ze sobą taką samą kantówką. Oczko siatki miało około 45 mm w kwadracie. Druga siatka była tak samo skonstruowana i umieszczona wewnątrz pierwszej w odstępie około 150 mm. Oczko tej siatki miało w kwadracie około 25 mm. W narożnikach obie te siatki połączone były żelaznymi sztycami. Trzecia część słupa była ruchoma. Był to próżny słup z cienkiej blachy cynkowej o przekroju około 150 mm w kwadracie, zakończony



od góry stożkiem, a od dołu równą kwadratową podstawą. W odstępach około 25 mm do brzegów tego słupa przylutowane były na cienkich sztycach blaszanych kantówki z blachy. Na kantówkach tych rozciągnięta była drobna siatka o oczku około 1 mm w kwadracie. Siatka ta kończyła się u podstawy stożka i stąd ku górze, w przedłużeniu siatki, biegło blaszane obramowanie aż do wysokości wierzchołka stożka. Zawartość puszek cyklonowej wsypanych od góry na stożek rozdzielony, przez co uzyskiwano równomierne rozsypywanie się cyklonu po wszystkich 4 ścianach bocznych słupka. Po ulotnieniu się gazu wyjmowano cały słupek środkowy i usuwano zwietrzałą krzemionkę. Kanały wentylacyjne komory gazowej kute były w ścianach bocznych komory. Otwory wentylacyjne zakryte były przykrywkami z blachy cynkowej, w której znajdowały się okrągłe otwory.

SS-manni w obozie starali się dobierać spośród więźniów konfidentów, którzyby im donosili o wszystkim co się w obozie dzieje. Przy doborze konfidentów uciekali się do najrozmaitszych systemów, starając się tych, którym niechybnie groziła kara śmierci, nakłonić do służby konfidentów za cenę uratowania życia. M. in. znany mi jest tego rodzaju wypadek z niejakim więźniem Józkiem, którego bliższych danych osobowych nie znam. Był to 17-letni chłopak, Polak, pochodzący z Brzeska, a zaprzyjaźniony z Kazimierzem Zającem nr więźnia 261, który pracował u mnie w ślusarni. W roku 1943 Zajęć zwrócił się do mnie jako do kolonnenführera na ślusarni, bym spowodował przyjęcie tego Józka do ślusarni. Ponieważ z Zającem żyłem w dobrych stosunkach i chciałem owemu Józkowi, jego znajomemu, pomóc, postarałem się o to, by istotnie Józek został do ślusarni przyjęty. Obserwując Józka stwierdziłem, że często wymyka się z pracowni, by handlować przedmiotami, które nabył bądź też skradł w magazynie tzw. Unterkunft. Pewnego dnia Józek nie zjawił się do pracy, a natomiast otrzymałem meldunek, że został on osadzony w bunkrze na bloku 11-tym, po uprzednim przesłuchaniu go w oddziale politycznym w związku z przyłapaniem Józka przez SS-manna na fackie przenoszenie firanek. Po jakimś ty-



godniu Józek zgłosił się pownnie do pracy. Ponieważ za tego rodzaju czyny, jakie zarzucano Józkiowi, normalnie rozstrzeliwano, byłem zdziwiony jego powrotem i zapytałem go, w jaki sposób uniknął śmierci. Dał mi odpowiedź wymijającą. Rozpocząłem wobec tego bliżej go obserwować, przewidując, że napewno SS-manni nie wypuścili go z bunkra bezcelowo. W niedługim czasie w porze obiadowej zauważyłem, że Józek przechodzi przez dziurę od parkanu z damską chustką, ukrytą pod ubraniem. W tym momencie doszedł do niego SS-mann z politycznego oddziału, zrewidował go, wyciągnął rękę po chustkę, ale jej nie zabral, lecz z powrotem mu pozostawił, porozmawiał chwilę z Józkiem i odszedł, pozostawiając Józkiowi swobodę działania. Zorientowałem się wobec tego, że Józek musi być na usługach oddziału politycznego. W związku z tym porozmawiałem z nim otwarcie, i Józek przyznał mi się, że gdy siedział w bunkrze, został już postawiony pod ścianą śmierci na rozstrzelanie, a w ostatnim momencie zwolniony, z tym jednak, że będzie konfidentem oddziału politycznego. Opowiedział mi też, że chustkę, z którą go SS-mann przyłapał, miał on stosownie do umowy z owym SS-mannem sprzedać jednemu z więźniów na oddziale elektrycznym i włożyć do szuflady tego więźnia po to, by ów SS-mann mógł ją następnie stamtąd zabrać, a więźnia zaaresztować i dowiedzieć się, z kim pozostaje w stosunkach handlowych. Wtedy porozmawiałem z Józkiem poważnie, przemawiając mu do sumienia, czym jest dla współwięźniów tego rodzaju jego robota konfidenta i zażądałem od niego, by pracy konfidenta zaniechał. Pod wpływem tej rozmowy Józek ową chustkę zaniósł na oddział elektryczny, ale nie włożył jej do szuflady, do której stosownie do rozmowy z SS-mannem miał ją włożyć, lecz umieścił ją w szufladzie jednego z warsztatów, do której mieli dostęp wszyscy więźniowie. Gdy więc SS-mann przeprowadzał rewizję, znalazł chustkę w tej szufladzie ogólnej, w związku z czym nie zdołał ustalić, dla kogo chustka była przeznaczona. Zażądał zatem informacji i wyjaśnienia, kto chustkę w to miejsce dostarczył. Więźniowie wskazali na Józka. Wobec tego SS-mann domagał się od Józka wskazania więź-



nia, dla którego chustka była przeznaczona. Józef jednak tym razem więźnia tego nie zdradził, oświadczając, że sam chciał ją dalej sprzedać. W następstwie tego Józef został ponownie zatrzymany przez oddział polityczny i w dwa dni potem rozstrzelany. -----

Poza konfidentami SS-manni starali się i w inny sposób otrzymywać wiadomości o tym, co się dzieje w obozie. Jednym z takich sposobów było w r. 1942 zwrócenie się oberscharführera Palitscha do więźniów z wezwaniem, by w drodze anonimowej wrzucali listy do umieszczonej na bloku 15-tym czarnej skrzynki i zawiadamiali władze obozowe o sprawach, dotyczących więźniów i stosunków w obozie. Skrzynka ta była opróżniana codziennie rano osobiście przez Palitscha, gdyż tylko on posiadał klucz od niej. I zdarzały się wypadki, że niejednokrotnie Palitsch wyjmował z niej większą lub mniejszą ilość anonimowych doniesień. Skrzynka wisiała na miejscu widocznym, to też kartki do niej wrzucane były przeważnie w porze nocnej. Trwało to tak aż do czasu przeniesienia Palitscha do Brzezinki na obóz cygański. Od tej bowiem chwili skrzynka już nie funkcjonowała. -----

W związku z możliwością swobodnego poruszania się po obozie miałem sposobność rozmawiania i kontaktowania się z wielu więźniami, pochodzącymi z różnych krajów i należącymi do różnych sfer. Wielu z nich darzyło mnie specjalnym zaufaniem i niczego przede mną nie taiko. Byłem więc doskonale obeznany z tym co się w obozie nie tylko jawnie ale i skrycie działo. Na tej też podstawie oświadczam, że na terenie obozu oświęcimskiego nie istniała żadna większa organizacja polityczna więźniów, grupująca szeregi ujęte przez jednolite kierownictwo i na sposób wojskowy, a w szczególności nie było warunków i możliwości do tego, by móc zgromadzić tam w tajemnicy przez SS-mannami i konfidentami jakąkolwiek broń. Przyznaję, że wiele rzeczy udało się na terenie obozu przeprowadzić w sposób tajny i nielegalny, ale działo się to dzięki porozumieniu kilku, czy kilkunastu tylko ludzi oraz poświęcenia jednostek. W tych wypadkach dokonywane sporadycznie poszczególnych czynności, ale nie były one powiązane i skoordynowane



w jedną planową akcję, kierowaną przez jakiś zorganizowany sztab naczelny, o charakterze politycznym czy wojskowym. Dlatego też dziwi mnie ukazujące się w ostatnich dniach na ten temat, czy to w dziennikach, czy też od poszczególnych byłych więźniów oświęcimskich wypowiedzi i oświadczenia, głoszące, iż na terenie obozu w Oświęcimiu istniała masowa organizacja potajemna, obejmująca członków różnych narodowości, a posiadająca nawet na terenie obozu specjalne składy broni, przygotowane po to, by w odpowiednim momencie użyć jej do walki przeciwko władzom obozowym. Ja o istnieniu takiej organizacji nie wiem. Dziwi mnie to, że wspominając o istnieniu tej organizacji, nie wymienia się nazwisk jej kierowników, co przecież w dzisiejszych warunkach nie tylko nie jest niebezpieczne, ale przeciwnie, przynosiłoby musi być zaszczyt i chlubę. -----  
Jak już wspomniałem, z Oświęcimia wyniesiony zostałem transportem do Mauthausen, skąd przeniesiony zostałem do Greditz koło Lipska. Po likwidacji tego komenda zbiegłem z transportu i pieszo a następnie transportem dostałem się do domu. -----  
Odczytano. Na tym protokół w dniu 19 czerwca 1945 r. zakończono.-----

Świadek

Prokurator

/-/Edward Pechalski

/-/Michał Kula

Sędzia

/-/Jan Sehn

Protokołowała

/-/Krystyna Szymańska

Z oryginałem zgodny:

Sędzia Jan Sehn

